ZIELONE WIADOMOŚCI

lipiec 2010

dodatek do „Zielono i w poprzek” ISSN 1898-8717 08

O pożytkach z równości

Fot. Joanna Erbel

Bartłomiej Kozek

Nierówność jest zła dla całego społeczeństwa – alarmują raporty brytyjskiego think tanku Equality Trust. Od skutków społecznych nierówności nie można się odgrodzić czy ukryć za kratą strzeżonych osiedli. Społeczeństwa nieegalitarne trwonią olbrzymią ilość ludzkich zasobów i talentów. Dane są bezlitosne – im wyższe rozwarstwienie dochodów, tym mniejszy poziom społecznego zaufania, wyższa przestępczość, częstsze występowanie otyłości i chorób serca, większa nierówność między kobietami a mężczyznami, a nawet... niższy poziom recyklingu. W rozwarstwionym społeczeństwie trudniej o szacunek dla drugiego człowieka i otaczającego go środowiska.

ciąg dalszy na str. 2

Jesteśmy zakładnikami własnej ksenofobii

Tomek Kitliński

Dziś w Polsce nienawidzimy obcego jak siebie samego.

Nigeryjczyk zostaje zastrzelony przez policję; władze Łomży chcą pozbyć się uchodźców i uchodźczyń; urodzony w naszym kraju pół-Egipcjanin Karol El Kashif, aptekarz z Mokotowa, który pomaga osobom z HIV/AIDS, jest w Warszawie represjonowany (o sprawie pisały „Gazeta Wyborcza” i „Krytyka Polityczna”); mimo naszych protestów po głównych ulicach Lublina przechodzi marsz antysemickiego ONR; niełatwa i niepewna jest sytuacja pracowników, a zwłaszcza pracownic z Ukrainy w Polsce.

Uczestniczymy w ksenofobicznym wstręcie wobec Innych. Jeżeli brzydzą nas, to nie poradziliśmy sobie z własną wyjątkowością, z obcym w nas samych. Ksenofobia jest nienawiścią do samego siebie przenoszoną na odmiennych. Szukamy rzekomo odpowiedzialnych za nasze problemy, obwiniamy, ranimy ich i siebie. Cierpimy na ksenofobię – cierpimy z powodu własnej ksenofobii. Zaakceptujmy własną wewnętrzną odmienność, a wtedy przyjmiemy Obcych.

ciąg dalszy na str. 2

w numerze:

- Legierski o związkach partnerskich
- Ostolski o prawie do adopcji
- Hołuszko o mniejszościach narodowych
- Boukhelkhal o polskich muzułmankach
- Gdula o religii w szkole
- Iwański i Tkacz-Janik o parytetach
- Charkiewicz i Mergler o neoliberalizmie
- Gill-Piątek i Sołtysiak o poznańskich marszach
- Leszkowicz o wystawie Ars Homo Erotica
- Kłosowski o tym, jak ubodzy dzielą pieniądze
- Piątek – poezja o Komorze
- Zawleczka o wyborach

NIE MA RÓWNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

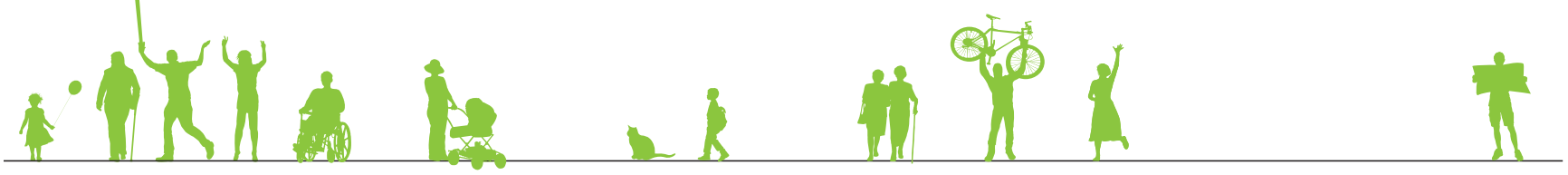

Wszystkie barwy tęczy

Z Małgorzatą Tkacz-Janik, przewodniczącą Zielonych, rozmawia Tomasz Goliński

Tomasz Goliński: Zieloni są jedyną w Polsce partią, w której funkcjonuje parytet we wszystkich ciałach decyzyjnych. Czy rzeczywiście musicie „łapać” kobiety, niechętne polityce?

Małgorzata Tkacz-Janik: Parytet mamy nie tylko w ciałach decyzyjnych. Zdarza się, że wprowadzamy go w trakcie dyskusji, dając na zmianę głos kobiecie i mężczyźnie. Zieloni dostrzegają niesprawiedliwą dla kobiet proporcję uczestnictwa płci w otaczającym nas życiu. I robimy wszystko, aby to naprawiać i zmieniać. Tu chodzi nie tylko o politykę, ale również o o ludzką godność i o fundamentalne kwestie życia codziennego. Inaczej, jako kobieta, nie chciałabym zostać polityczką!

Parytet nigdy nas nie ograniczał. Nie „łapaliśmy” kobiet w zielone sieci. Po prostu odrzuciliśmy patriarchalny model polityki, zmieniliśmy retorykę. Nie ma umizgów, kokieterii, seksualnych aluzji. Jest partnerska rozmowa, dzięki której możemy obejrzeć daną kwestię z różnych punktów widzenia. Wtedy kobiecy język jest różny, ale równy. Nie ma to nic wspólnego z poprawnością polityczną. To głęboko humanistyczny, polityczny, bardzo zielony projekt.

T. G.: Czy 154 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o parytecie to sukces?

M. T.-J.: Tak, to jest sukces. Zwłaszcza że Polacy i Polki są zniechęceni do polityki, nie wierzą, że mogą coś zmienić. Szczególnie kobiety mają złe doświadczenia. Nie jest to ich pierwsze „pospolite ruszenie” podczas 20 lat transformacji. Wszystkie poprzednie zamieciono pod dywan. A mimo to znowu udało się wzbudzić energię i nadzieję na zmianę.

Parytet to nie panaceum na całą krzywdę kobiet. Ale to znakomite narzędzie demaskowania nierówności. Walka o parytet pozwoliła otworzyć debatę

ciąg dalszy na str. 3

Okopy Świętej Trójcy

Kinga Dunin

Fot. Magda Mosiewicz

Pozostawiam tym, którzy głosowali bez przekonania na Komorowskiego radość z tego, że nie udało się Kaczorowi. Że Polska została uratowana. Niech jeszcze przez chwilę cieszą się, że nie wróci IV RP. I tak by nie wróciła. Bo były to wybory prezydenckie, a prezydent nie ma takich uprawnień. Co najwyżej trwałyby nadal czasy, kiedy rządzi PO, a prezydentem jest jakiś Kaczyński.

Dziwi mnie czemu wszyscy, którzy wpadli teraz w panikę, przez dwa lata milczeli? Mam jednak dla nich złą wiadomość: ta przegrana może okazać się wygraną w przyszłości. Obóz PiS wzmocnił się, a jako opozycja będzie zbierał punkty za krytykowanie rządu. Natomiast kandydat PO z trudem został doczołgany do mety. Pomogli mu polscy inteligenci, drżący ze strachu przed Kaczyńskim. Takie okopy Św. Trójcy, w których zdegenerowani arystokraci bronią się przed motłochem. Zrozumiałam to, kiedy znajomy, deklarujący się jako bardzo lewicowy, powiedział, że zagłosuje na Komorowskiego, bo za Kaczyńskim ciągnie się motłoch. Antysemicki, ksenofobiczny i nieestetyczny.

W tej sytuacji bliższa mi jest Monika Strzępka, która zdecydowała się stanąć po stronie elektoratu Kaczyńskiego. Bo elektorat ten ma co prawda niesłuszne poglądy, ale całkiem słuszne żądania – większej równości, większej odpowiedzialności państwa. Za PO natomiast wlecze się egoistyczny neoliberał. Łatwo jest nie lubić motłochu, trudniej pomyśleć o tym, skąd się wziął. I czy naprawdę panie z Rodzin Radia Maryja są równie groźne jak kolesie z nieograniczonym apetytem na kasę i brakiem skrupułów? Zamiast rozpoznać mechanizmy, skupiono się na wyobrażeniach i symbolach.

> Łatwo jest nie lubić motłochu, trudniej pomyśleć o tym, skąd się wziął

Dziś Jarosław Kurski ostrzega Platformę – musicie się zmienić, żeby spełnić nasze oczekiwania. Może trochę za późno? Hrabia Henryk z kolegami (i koleżankami) oddali swoje głosy za darmo. Napieralski nic nie utargował. Ciekawe, co by było, gdyby Platforma nie mogła liczyć na negatywny elektorat Kaczyńskiego? Gdyby od początku usłyszała: nie zagłosujemy na nikogo, jeśli Komorowski nic nam nie da w zamian? Czego Komorowski nie obiecał przed wyborami, na pewno nie zrobi po. Okazało się, że polskie liberalne elity wystarczy postraszyć strachem na wróble w moherowym berecie. Inne opinie, które słyszałam, to pełne przerażenia opisy wsi głosujących na Kaczyńskiego pod dyktando Kościoła. Dziki zaścianek. PO to co innego – nie słucha proboszczów, tylko biskupów. I tak się z tym nie obnosi. A nawet może wypracować kompromis. Znamy już takie kompromisy – np. w sprawie aborcji.

Nie głosowałam na Kaczyńskiego, nie zagłosowałam też przeciwko niemu. I oczywiście nic się nie stało, poza zwycięstwem estetyki. Lepszej od żałoby, antynacjonalistycznej, tolerancyjnej, proeuropejskiej, dzięki której będzie rządziła nami zadowolona z siebie konserwa. A co było do wyboru? To samo lub prawie to samo, ale bez naszej zgody.

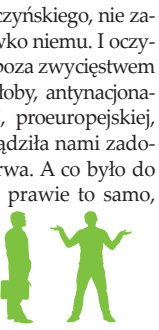

Od prawej: Volker Beck i Claudia Roth z niemieckich Zielonych, Kazimierz Kutz, Robert Biedroń i Magda Mosiewicz z Zielonych 2004. Warszawa, czerwiec 2005. Fot.: http://foto.lorga.pl

List Volkera Becka

Drogie Przyjaciółki,
Drodzy Przyjaciele,

prawa człowieka są uniwersalne – także te odnoszące się do gejów i lesbijek! Swobodny rozwój osobowości i ochrona przed dyskryminacją są częścią Europejskiej Konwencji Praw Człowieka i Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej. Braterstwo i równouprawnienie są częścią europejskiego przesłania.

Wolność gejów, lesbijek, osób bi- oraz transseksualnych do wyrażania poglądów oraz do zgromadzeń jest uznawana przez instytucje europejskie za fundamentalne prawo człowieka. 29 kwietnia 2010 roku Rada Europy ponownie stwierdziła, że pary homoseksualne zasługują na taki sam społeczny szacunek oraz takie same prawa jak pary heteroseksualne. Nasza miłość nie jest mniej warta! Dlatego tak ważne jest, by wyjść na ulicę, wziąć udział w EUROPRIDE i dlatego w tym roku ponownie przyjeżdżam do Warszawy.

Marsz Równości w Warszawie był i jest punktem kulminacyjnym w walce o równe prawa dla lesbijek, gejów, osób bi- oraz transseksualnych. W 2005 roku wykazaliście się wielką odwagą, gdy pomimo zakazu wyszliście na ulicę. Jestem dumny, że mogłem być wtedy z Wami. Z Warszawy idzie teraz sygnał, że odwaga i zaangażowanie się opłacają! Fakt, że EUROPRIDE odbędzie się - miejmy nadzieję – w bardziej przyjaznej atmosferze oraz bez strachu, doda wielu ludziom z Europy Środkowej i Wschodniej odwagi. W Rosji, w krajach nadbałtyckich, na Węgrzech czy w Słowenii – także tam musimy nadal prowadzić walkę o równe prawa i godność każdego człowieka. Teraz zadanie wspierania naszych przyjaciół z tych krajów należy także do polskiego ruchu LGBT. Za to serdecznie Wam dziękuję!

Do zobaczenia
w Warszawie 17 lipca!

Volker Beck – od 1994 roku deputowany do Bundestagu. Doradca w Komitecie ds. Sankcji przy Radzie Bezpieczeństwa ONZ, obrońca praw do odszkodowania pracowników przymusowych poszkodowanych przez III Rzeszę. Przyczynił się istotnie do uchwalenia przez Bundestag ustawy o legalizacji w Niemczech związków partnerskich gejów i lesbijek. Otwarcie też mówi o swoim homoseksualizmie.

O pożytkach z równości

Bartłomiej Kozek

ciąg dalszy ze strony 1

Nierówności przyjmują najróżniejsze postaci, a ich wzajemne krzyżowanie się powoduje nasilanie się problemu. Brak równości między kobietami a mężczyznami, bogatymi a biednymi, osobami hetero- a homoseksualnymi pozwala partiom prawicowym i ksenofobicznym rozgrywać frustracje jednych grup kosztem drugich.

To prawdziwy problem, że ponad połowa Polaków i Polek żyje poniżej minimum socjalnego, co poważnie utrudnia nam wszystkim realizację swoich planów, ambicji i marzeń. W tej grupie potrafimy różnić się pod względem płci, rasy, narodowości, orientacji seksualnej, religii i światopoglądu. Z danych OECD wynika, że sytuacja materialna dzieci w Polsce jest najgorsza spośród wszystkich badanych 21 państw europejskich. Jednocześnie te problemy są zamiatane pod dywan, bo w telewizji dużo lepiej prezentują się warszawskie szklane wieżowce, zaś biedę można sprzedać jako folklor. Nawet emancypacyjne postulaty środowisk kobiecych czy domaganie się praw dla osób nieheteroseksualnych portretowane są jako „obyczajowe ekscesy", a nie realizacja praw człowieka.

A przecież wystarczy spojrzeć za morze, na Szwecję. Większej równości ekonomicznej towarzyszy wysoki poziom równości płci i włączenia mniejszości – od etnicznych po seksualne – w główny nurt życia społecznego i politycznego kraju. Wysoki udział kobiet w organach władzy, wsparcie dla godzenia życia prywatnego i rodzinnego, prawo do formalizacji związków homoseksualnych, finansowanie integracji środowisk imigranckich – skutkuje tworzeniem innowacyjnej gospodarki i spójnego społeczeństwa, Gwarantuje to wysoką jakość życia dużo większej części społeczeństwa niż nad Wisłą. Nawet wskaźniki hołubione przez tradycyjną prawicę wyglądają lepiej – chociażby dzietność i mniejsza liczba ciąż nastolatek. Być może dlatego, że partnerski model rodziny, wspierający przede wszystkim relacje międzyludzkie, skutkuje większą satysfakcją z życia.

Jednym ze sloganów powtarzanych dość namiętnie jest rzekomo „zdroworozsądkowe" przekonanie o tym, że wystarczy pracować, by osiągnąć sukces. Ale wystarczy zobaczyć, ile jest w Polsce barier: : szklanych sufitów, lepkich podłóg, ograniczeń finansowych czy przestrzennych (istotnych dla osób niepełnosprawnych lub rodziców z wózkiem) czy ograniczeń w dostępie do kapitału kulturowego i finansowego. Bardzo też często realna społeczna wartość pracy zupełnie nie idzie w parze z jej rynkową wyceną. Warto przypomnieć stosowne badanie brytyjskiej New Economics Foundation, która wyliczyła, że za każdy zainwestowany w płacę funt opiekunka/opiekun do dziecka przynosi od 7 do 9,5 funta społecznego zwrotu z inwestycji. W tym samym czasie funt „włożony" w bankiera londyńskiego City przyniósł – z powodu kryzysu finansowego – 7 funtów straty. Opieka, praca wolontaryjna – sektory te tworzą olbrzymią wartość społeczną, ale osoby, które się w nie angażują, otrzymują za to niewiele lub nic. Co gorsza, taki też często jest ich status w społecznej hierarchii zawodów – niski lub żaden.

Zieloni chcą kolorowego społeczeństwa opartego na równości. Nie da się tego zrobić bez realizacji naszych wspólnych praw – do czystego środowiska, wysokiej jakości edukacji i opieki zdrowotnej – bez zwyczajnej, ludzkiej troski i empatii. Interesy różnych osób – pozostających bez pracy, kobiet, mniejszości etnicznych, światopoglądowych czy seksualnych – są sobie dużo bliższe, niż mogłoby się wydawać. Wspólny wysiłek na rzecz tworzenia możliwości realizacji marzeń, choć trudny, może przynieść korzyści nam wszystkim. Liberalne prawo do przerywania ciąży czy ustawa o związkach partnerskich nie da wiele, jeśli w kolejnych wyborach do władzy powrócą formacje, które tę legislację skasują. Jeśli chcemy, by polska scena polityczna na trwałe przybrała postępowe barwy, to bez zmniejszenia poziomu społecznych i ekonomicznych nierówności ten cel będzie niemożliwy do realizacji.

Bartłomiej Kozek – przewodniczący koła warszawskiego Zielonych (parytetowo z Ireną Kołodziej), autor bloga „Zielona Warszawa" – http://zielonawarszawa.blogspot.com

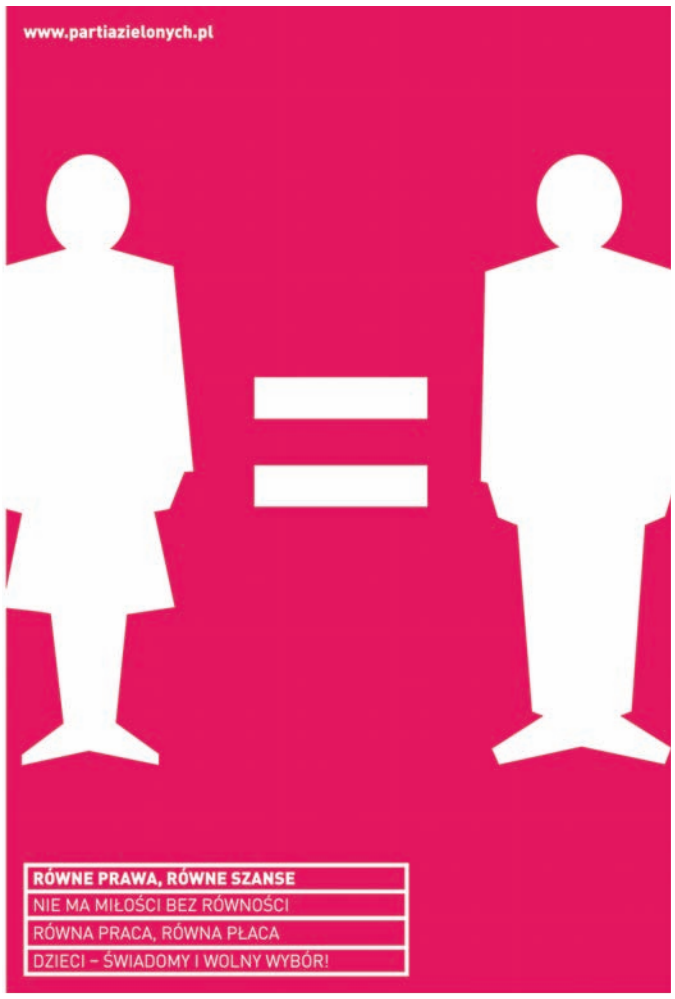

Autor kartki: Grzegorz Laszuk

Jesteśmy zakładnikami własnej ksenofobii

Tomek Kitliński

ciąg dalszy ze strony 1

Nasz pakt republikański obejmuje wszystkich: obywatel(k)i oraz przybyszki/ów. W końcu wszyscy jesteśmy przybyszami, gośćmi tego świata. I łączy nas wspólne człowieczeństwo.

Zamiast hołdowania „jedynie słusznej" tożsamości narodowej, potrzebujemy demokratycznej różnorodności kultur tego kraju. Nie możemy zamykać się w skansenie. Otwórzmy się na myśl współczesną, która tak wysoko stawia obcość. Zielone i Zieloni w różnych krajach oraz na poziomie europejskim opowiadali się za stworzeniem z naszego kontynentu mostu, który pozwalałby przybysz(k)om na legalne podróżowanie i życie.

Społeczeństwo poszło już dalej. Klasa polityczna zatrzymała się na wysławianiu swojskości i uprzedzeniach: niechęć do migrantów łączy się z przesądami wobec kobiet i nas, gejów. Politycy traktują migrantów utylitarnie i represyjnie. A tymczasem imigracja do Polski to nie zagrożenie naszej tożsamości, lecz jej zróżnicowanie i wzbogacenie.

> Rzeczpospolita – to wspólne państwo różnorodnych tożsamości

Idea gościnności powraca w wielości kultur – od Homera, Biblii, Koranu przez Kanta, Derridę, Baumana do Hélène Cixous, pochodzącej z rodziny żydowskiej w Algierii filozofki feminizmu francuskiego. Cixous inspiruje się wersetem Biblii hebrajskiej „Kochaj tę obcą osobę, bo i ty byłeś obcy w ziemi egipskiej": odkrywszy cudzoziemca w sobie, nie nienawidzimy już Innych.

Trzeba otworzyć na potrzebujących fortecę Europę. Naszym zadaniem jest także starać się, by Unia Europejska stała się wreszcie gościnna dla uchodźców, którzy często giną na granicy naszego kontynentu. Jeśli nawet dostaną się do UE, to odcina się im dostęp do pracy, podróży i pomocy społecznej.

Gościnność, idea tylu kulturowych tradycji i Cixous, to etyka przeciw egoizmowi i fobiom, a za wzajemną pomocą oraz troską o Innych. Weźmy przykład edukacji w naszym kraju: tu także winniśmy kultywować gościnność, otwierać uniwersytet na niepełnosprawnych, uchodźczynie/ów, migrantki/ów. Istotne jest kształcenie mniejszości oraz badania na ich temat, by stawali się obywatel/k/ami świata. Te postulaty, wypracowane podczas protestów akademickich w Lublinie, zawarte są w uchwale programowej Zielonych 2004, przyjętej przez Kongres partii. Cieszę się także, że studentki i studenci Łomży zainicjowali petycję w obronie uchodźczyń i uchodźców w swym mieście.

> Zamiast hołdowania „jedynie słusznej" tożsamości narodowej, potrzebujemy demokratycznej różnorodności kultur tego kraju

Czy i my wykrzeszemy z siebie odrobinę altruizmu? Łomża, Lublin, Mokotów, okolice Stadionu, ale i cała UE to nasza odpowiedzialność.

W tworzeniu kultury gościnności ważną rolę może odegrać sztuka Krzysztofa Wodiczki, który od lat przeciwstawia się ksenofobii. Na Biennale Weneckie stworzył on projekt „Goście": o uchodźcach. Wielkie zadanie do spełnienia mają też działania obywatelskie, czyli starania nas wszystkich.

Prawa kobiet, niepełnosprawnych, gejów i migrantek/ów powinny być w demokracji najważniejsze. Kiedy stworzymy Polskę bez antysemityzmu, homofobii, uprzedzeń wobec kobiet i ksenofobii? To zależy od nas.

Ilustracje: Tomek Kitliński

Tomek Kitliński jest autorem książki *Obcy jest w nas. Kochać według Julii Kristevej* i współautorem – z P. Leszkowiczem, z którym wziął udział w akcji *Niech nas zobaczą* – studium *Miłość i demokracja. Rozważania o kwestii homoseksualnej w Polsce*. Artykuły publikowane przez Routledge, New York University Press, „taz", „Feminotekę", „Słowo Żydowskie". Wykładowca i związkowiec UMCS, wchodzi w skład Rady Krajowej Zielonych 2004 i zespołu Krytyki Politycznej.

Prof. Fuszara przedstawia projekt ustawy parytetowej. W sejmowych ławach lewicy sami mężczyźni i Izabela Jaruga-Nowacka. *Fot. Magda Mosiewicz*

o dyskryminacji kobiet, a także innych mniejszości. Okazało się, że nierówności płacowe mają płeć, że niesprawiedliwy jest patriarchalny podział ról. Że umowy śmieciowe czy pracę „na czarno" najczęściej podejmują właśnie kobiety. Że politycy siedzą nie tylko w naszych portfelach, ale także leżą z nami w łóżkach, decydując o tym, kiedy i czy w ogóle będziemy mieć dzieci.

Klasa polityczna nic dziś nie robi, aby pomóc kobietom i mniejszościom. Niemal jednopartyjna dziś władza wprowadza neoliberalne reformy, które pogłębiają rozwarstwienie i ubożenie społeczeństwa. PO nie chce przyjąć ustawy o płacy minimalnej. Przerzuca ciężar na rodzinę (czytaj: kobiety) i w haniebny sposób prywatyzuje opiekę! Co z tego, że mamy ustawę o mikroprzedszkolach i żłobkach, skoro będą one prywatne? Kobieta w tym systemie zostaje w domu, bo to się jej i rodzinie bardziej opłaca. Czy to jest równość? Czy to jest demokracja?

T. G.: Czy Bronisław Komorowski podpisze ustawę o 35-procentowych kwotach na listach wyborczych? Czy samą propozycję kwot zamiast parytetu uważa pani za udany kompromis?

M. T.-J.: O postawie Komorowskiego i PO wiele mówi dotychczasowe procedowanie nad parytetami. Od 16 lutego odbyły się cztery posiedzenia komisji. Na każdym temat był spychany z porządku obrad albo przesuwany na kolejne daty. Mimo to zmiany w ordynacji mogłyby wejść w życie już podczas najbliższych wyborów samorządowych. Konstytucjonaliści mówią, że z punktu widzenia prawa to nie jest „zmiana zasadnicza".

Tyle że proponowana przez Komorowskiego 35-procentowa kwota niewiele zmienia. To nie jest kompromis, to ochłap z patriarchalnego, neoliberalnego, bardzo konserwatywnego stołu. Realnie niewiele to zmieni, bo partie i tak wystawiają zwykle zbliżony odesetek kobiet. Trzeba także pamiętać, że nawet 50% miejsc na listach, ale bez „suwaka" (czyli naprzemiennego umieszczania na listach kobiet i mężczyzn), niekoniecznie przełożyłoby się na zwiększoną obecność kobiet w Sejmie.

T. G.: Czy po wyborach prezydenckich są szanse na podjęcie kolejnych tematów związanych z prawami kobiet? Sytuacja matek na rynku pracy, aborcja, wychowanie seksualne, refundacja środków antykoncepcyjnych, przemoc wobec kobiet...

M. T.-J.: Minęły prawie 3 lata rządów PO. To były 3 lata milczenia na temat przyjęcia przez Polskę w całości Karty Praw Podstawowych. Ustawa o płacy minimalnej nie niższej niż połowa średniego wynagrodzenia, co zapewniłoby wstrzymanie ubożenia społeczeństwa, leży w lasce marszałka od ponad 2 lat. Dlaczego marszałek jako prezydent miałby nagle rozmrozić ten temat?

Prawo do aborcji? Chyba pan żartuje! Przypomnę tylko, że to Komorowski nazywał się z dumą podczas tzw. debaty „twórcą kompromisu w sprawie aborcji". Bez komentarza. Związki partnerskie? Słyszeliśmy wszyscy, jak obecny prezydent tłumaczy, że są niepotrzebne, bo przecież lesbijki i geje „dziedziczyć po sobie mogą i tak", a jeśli nie, to może „kiedyś trzeba będzie to poprawić". A przecież to tylko część praw, które powinna zapewnić ustawa o związkach partnerskich.

Ustawa o finansowaniu in vitro z NFZ leży w lasce od 3 lat. Po śmierci Izabeli Jarugi-Nowackiej, reprezentującej klub Lewicy, który ją złożył, Komorowski wycofał ją z procedowania.

Zauważmy, że antykaczyńska histeria w większym stopniu dotyczyła facetów. Wiele kobiet przeczuwa, że za rządów PO czekają nas pozory polityki równościowej. Nie znoszę „kaczyzmu", ale boję się „bronkizmu" jak ognia. Przede wszystkim boję jako kobieta. Kobieta w neoliberalnej Polsce nie ma łatwego życia.

T. G.: Czyli nic się tu nigdy nie zmieni?

M. T.-J.: Pokładam nadzieję w nowym pokoleniu, na które stawia też Grzegorz

AKCJA

„Bardziej się nie da poniżyć człowieka. Aby załatwić potrzeby fizjologiczne, pracownicy muszą ustawić się na czerwonej kropce namalowanej na podłodze!"
- napisał do Dziennika Wschodniego czytelnik. Media sprawdziły, że Carrefour podobne praktyki wprowadza w całej Polsce.

Jeśli nie zgadzasz się na takie traktowanie ludzi, poprzyj społeczny

BOJKOT CARREFOURA
za czerwone kropki.

Znajdziesz nas na facebook

BOJKOT BOJKOT Carrefoura BOJKOT
za czerwone kropki

Wszystkie barwy tęczy

Z Małgorzatą Tkacz-Janik, przewodniczącą Zielonych, rozmawia Tomasz Goliński

ciąg dalszy ze strony 1

Napieralski. Dla nich PRL jest abstrakcją, za to realia neoliberalnego rynku pracy odczuwają boleśnie na własnej skórze. Dla nich ochrona matek na rynku pracy przez państwo to „oczywista oczywistość". To pokolenie, które ostatecznie położy kres polskiemu patriarchatowi i konserwie. Amen (śmiech).

T. G.: Jest pani z Górnego Śląska. Jak duży udział mieli Zieloni w powstaniu pierwszego śląskiego Marszu Tolerancji?

M. T.-J.: Bez Zielonych i KPH pierwszy marsz tolerancji w Katowicach w ogóle by się nie odbył. Tematyka antydyskryminacyjna była tu wcześniej nieobecna. Ten pierwszy marsz był marszem policji – było tyle samo policjantów, co uczestników. Nie był to marsz pokazujący ideę tolerancji, tylko marsz strachu.

Gdy to wspominam, nasuwają mi się pytania. Czy rzeczywiście ludzie tutaj tak myślą? Czy Ślązacy są większymi homofobami niż mieszkańcy innych regionów Polski? Gdy ostatnio delegacja z Kolonii – miasta partnerskiego Katowic – na spotkaniu w UM Katowice mówiła o różnorodności (etnicznej, narodowej, płciowej itd.) Kolonii jako o najważniejszym czynniku rozwoju miasta, jeden z wiceprezydentów Katowic zapytał: a gdzie są w tym wszystkim prawdziwi Niemcy? Tym bardziej doniosłe jest to, że ten Marsz w ogóle się odbył. Chwała ludziom ze śląskiej KPH.

Katowice przygotowują się do bycia kulturalną stolicą Europy 2016. Jeżeli wątek różnorodności nie będzie uznany za wartość (bo jest on wartością, niezależnie od tego, czy pan prezydent tego chce, czy nie), odejmiemy sobie wiele punktów, które moglibyśmy zdobyć.

T. G.: Zieloni od lat aktywnie walczą o prawa osób LGBT w Polsce. Jak legalizacja związków partnerskich ma się do wizji zielonej polityki?

M. T.-J.: Zawsze stawaliśmy po tęczowej stronie świata Jesteśmy za legalizacją związków według kryteriów, które wypracują środowiska LGBT. W Grupie Inicjatywnej ustawy o związkach partnerskich jest Krystian Legierski, będący członkiem Zielonych. Znamy różne przykłady rozwiązań: PACS, małżeństwo, konkubinat czy inne formy kohabitacji. Ale politycznie chcemy poprzeć rozwiązanie wypracowane przez samych obywateli i obywatelki. Najlepszą formą zielonej demokracji jest właśnie oddolność, różnorodność, żeby nie powiedzieć… równość (śmiech).

Dr Małgorzata Tkacz-Janik – dziennikarka, wykładowczyni akademicka, feministka. W 2006 roku zorganizowała pierwszą Manifę na Śląsku. Współorganizatorka i członkini rady programowej Kongresu Kobiet. Była kandydatką Zielonych w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2004 r. i do Sejmu w 2005 r. (na liście SdPl). W styczniu 2009 r. nominowana przez „Gazetę Wyborczą" do tytułu Polki Roku 2008. Od kwietnia 2010 r. jest przewodniczącą Zielonych 2004 (parytetowo obok Dariusza Szweda).

Zieloni walczą o wolność od momentu swojego powstania w 2003 roku. Demonstrowaliśmy w zakazanych Paradach Równości, wspieraliśmy swobodę artystyczną Doroty Nieznalskiej, domagaliśmy się przywrócenia Funduszu Alimentacyjnego. Byliśmy w Białym Miasteczku, jesteśmy na Manifach. Nasi ludzie to osoby zaangażowane w wieloletnią działalność pozarządową - stowarzyszeń, fundacji i think-tanków, autorki i autorzy publikacji, analiz i blogów politycznych. Więcej o naszych działaniach przeczytać można na naszej stronie internetowej: **www.zieloni2004.pl**

W jednym w warszawskich sklepów sieci Carrefour – wersja „kropki" w formie czerwonego kafla. *Fot. Hanna Gill-Piatek*

Dlaczego partie boją się parytetów?

Mikołaj Iwański

Parytety na listach partyjnych funkcjonują od zawsze dość dobrze. Tyle, że nie mają na celu równej reprezentacji kobiet i mężczyzn. Warto przypomnieć, że właśnie złamanie umowy parytetowej między byłym KLD a byłą UD doprowadziło do rozpadu Unii Wolności i powstania Platformy Obywatelskiej.

Listy wyborcze konstruuje się zazwyczaj według zasady, że w pierwszej trójce powinna być kobieta. Dobrze też, jeśli w pierwszej piątce jest lekarz. Macherzy partyjni dobrze wiedzą, że to uwiarygodnia listę. W partiach stosuje się też parytet terytorialny. Chodzi o to, żeby każdy organizm miejski czy część aglomeracji miała swojego tzw. zająca.

„Zając" oznacza faceta, który zajmuje niższe miejsce na liście (tzw. niebiorące). Nie ma szans na mandat, ale zbiera głosy na lidera. Im bardziej zając napalony, tym lepiej. W ostatnich dniach każdej kampanii wielu facetów stwierdza, po konsultacji z rodziną i kolegami, że „kto jak kto, ale oni mają wielką szansę, bo ludzie tak czują". Zając zostaje wtedy ugodzony strzałem z wody sodowej i jest w stanie swoje ostatnie pieniądze wywalić na kolejne plakaty, bannery, reklamy w lokalnej TV itd. itp. Podnosi to widzialność całej listy i poprawia ostateczny wynik. Potem, jeśli delikwent się nie zrazi, ma dobre wejście w wybory samorządowe. Ale zwykle się zraża i stwierdza, że „polityka to bagno". Taka karma.

Kobiety, które zwykle patrzą na wybory bardziej pragmatycznie i trzeźwo oceniają własną sytuację, o wiele słabiej poddają się temu syndromowi. Dlatego z punktu widzenia partyjnej maszyny są o wiele mniej użyteczne w charakterze zający.

Ostatnią kategorią kandydatów są „słupy". To zawodnicy, którzy startują po to, żeby podnieść limit wydatków wyborczych. Przykładowo w okręgu 10-mandatowym wystawia się 20 kandydatów: 3 potencjalnie biorących, 8 zający, a reszta to słupy. Rolę tę mogą pełnić radni (którzy muszą poprawiać rozpoznawalność) albo żony działaczy partyjnych. Osoby takie piszą oświadczenia o przekazaniu swojego limitu wydatków na lidera listy... i gotowe.

Nic dziwnego, że partyjni liderzy i aparatczycy obawiają się parytetu dla kobiet. Rozwala im się warsztat pracy, do którego przywykli. Oczywiście, nawet po wprowadzeniu parytetu w wielu przypadkach kobiety będą potraktowane instrumentalnie. Ale po kilku kolejnych wyborach zaczną budować swoją pozycję polityczną z innego poziomu, i nie będą się dały traktować jak paprotki. Jeśli zapewnimy 50-procentowy udział kobiet na listach, aktywne i ambitne kobiety w większym stopniu zaczną interesować się uczestnictwem w polityce.

Mikołaj Iwański – filozof, wykładowca Politechniki Koszalińskiej, członek poznańskich Zielonych

fot. cc_www.flickr.com joelomas

Pracownice Tesco na Manifie, fot. Magda Mosiewicz

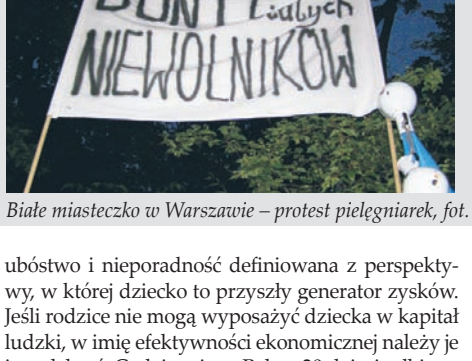

Białe miasteczko w Warszawie – protest pielęgniarek, fot. Beata Nowak

fot. Magda Mosiewicz

Kiedy niesprawiedliwość jest prawem – opór jest naszym obowiązkiem

Ewa Charkiewicz

Trzy najgorsze grzechy człowieka w Polsce – mówi Olga Tokarczuk o bohaterce swojej nowej książki, która próbuje zwrócić uwagę świata na zło, jakie się wokół niej dzieje, lecz nikt jej nie słucha – *to jej wiek, płeć, brak wpływów i pieniędzy. Te cechy czynią ją praktycznie niewidzialną, nieprzydatną dla systemu, sprawiają, że stoi poza systemem, praktycznie bez praw.* W tej sytuacji jest rosnąca liczba Polek i Polaków.

Eksmisja w płomieniach

31 marca 2006 r. 81-letnia kobieta oblała się benzyną i podpaliła na znak protestu przeciw eksmisji. Pani M. nie mogła pogodzić się ze stratą mieszkania, które otrzymała w nagrodę za pracę w słupskich fabrykach mebli. Czynsz był płacony na czas. Ale budynek, w którym mieszkała, sprzedano. Nowy właściciel postanowił przenieść lokatorów do lokalu zastępczego, mniejszego i bez ogrzewania. Sąd wyraził zgodę na eksmisję, która zaprzeczała zasadom sprawiedliwości społecznej, ale była zgodna z prawem. Pani M. została tylko jedna forma protestu. Ludzi w tej sytuacji, lokatorów, czy pracowników sprzedanych z fabrykami czy szpitalami, ludzi, których składki emerytalne „sprzedano" funduszom, jest bardzo dużo. Dopiero w sytuacji krańcowego dramatu, jak śmierć pani M., doświadczenia te zyskują widzialność – ale jako wyjątek, który nie powinien psuć obrazu powszechnego rozwoju i dobrobytu.

Miasto-firma zarabia na bezdomności

W maju 2008 r. kobiety z Wałbrzycha podjęły strajk głodowy w proteście przeciw pozaprawnym eksmisjom. Wałbrzych jest miastem, gdzie na początku transformacji mnóstwo ludzi znalazło się bez pracy. Część z nich wyemigrowała i stąd wiele pustostanów. Do niektórych zrujnowanych mieszkań wprowadziły się bezdomne rodziny, które mają niewielkie dochody z dorywczych zajęć. Część mieszkań nie miała kanalizacji, w innych było wspólne WC. W imię ekonomicznej efektywności i ochrony praw własności kobiety miały zapłacić za zajęcie pustostanu podwójny karny czynsz. A gdy miasto wnosiło o eksmisję, sąd orzekał wyroki więzienia. Jednak droga sądowa była zbyt długa: do mieszkań bez uprzedzenia weszli pracownicy ZBM, zaczęli wyrywać ze ścian kable i rury. Kiedy jedna z kobiet zaprotestowała, wyburzono ściankę działową, żeby na pewno nie mogła już tam mieszkać.

Matki z Wałbrzycha podjęły strajk głodowy. Radnego, który poparł ich protest, wyrzucono z pracy. W internecie rozgorzała dyskusja: protestujące matki nazwano pasożytami. Wzywano do ich sterylizacji i uwięzienia. Miały wszak dzieci, nie mając środków, by je utrzymać, a teraz mają roszczenia kosztem uczciwych obywateli. Internauci wypowiadali się jako podatnicy, a nie współobywatele. Płacę podatki, więc wymagam – jedyna polityczna podmiotowość, jaka uprawnia do zabrania głosu w neoliberalnej Polsce. Nikt nas nie pytał, czy chcemy żyć w takim społeczeństwie.

Wioletta, matka Różyczki

W lipcu 2009 r. pani Wioleccie W. pięć dni po porodzie kuratorka i sąd rodzinny odebrały jej córkę Różyczkę. Powód: nieposprzątane mieszkanie, zaburzenia psychiczne (depresja po śmierci męża), wielodzietność. Później okazuje się, że w trakcie pobytu w szpitalu pani Wioletta została wysterylizowana – bez jej zgody. W podtekście tej sprawy ubóstwo i nieporadność definiowana z perspektywy, w której dziecko to przyszły generator zysków. Jeśli rodzice nie mogą wyposażyć dziecka w kapitał ludzki, w imię efektywności ekonomicznej należy je im odebrać. Codziennie w Polsce 20 dzieci odbieranych jest rodzicom, część z powodu biedy.

Dzieci z ołowiu

11-letni Norbert miał trzy miesiące, gdy lekarze wykryli na jego kręgosłupie złośliwego guza. Raka udało się usunąć, ale rodzice żyją w ciągłym lęku. Norbert narzeka na bóle lewej łopatki, gdzie ma ogromną bliznę pooperacyjną, na potworne zmęczenie, które ogarnia go po każdym większym wysiłku. W jego krwi wykryto aż 18 jednostek ołowiu. Z okna jego mieszkania widać kominy KPHM. Środowisko wokół Huty Głogów jest od lat zanieczyszczone, a pracownicy i okoliczni mieszkańcy chorują na ołowicę. Założono filtry, ale to tylko trochę poprawiło sytuację. Dzieci chorują, bo żyją w zanieczyszczonym środowisku, a także dlatego, że ich rodzice są od lat skażeni ołowiem. W grudniu ub. r. Fundacja na rzecz Dzieci Zagłębia Miedziowego przebadała 181 dzieci w szkołach podstawowych. Okazało się, że 157 miało wysoki lub średni poziom ołowiu we krwi, a tylko 24 niski. W 2009 r. zysk netto KPHM Polska Miedź SA wyniósł 2,9 mld zł. Huta mogłaby więc inwestować w ochronę środowiska. Rzecznik huty radzi mieszkańcom, aby dbali o higienę i myli ręce, to nie będą chorować.

Cena życia według atomowego potentata

Wiosną 2002 r. na terenie opuszczonej fabryki maszyn budowlanych Zremb na warszawskim Żoliborzu zginął Tomek Byra, 24-letni student dziennikarstwa. Tomek robił tam zdjęcia. Wszedł do małego budynku i zginął porażony prądem. Ponad rok wcześniej ta samo zginął Radek Kisielewski z Krakowa. Odpowiadająca za zabezpieczenie trafostacji firma STOEN (laureat nagrody dla odpowiedzialnego biznesu), tłumaczyła, że odłączenie prądu kosztowałoby 3773 zł. Z punktu widzenia zarządzania zyskiem w firmie był to zbędny wydatek. Właścicielem STOEN jest RWE, niemiecka firma posiadająca elektrownie atomowe oraz filie w wielu krajach. Można łatwo wycenić wartość życia dla firmy: 1886,50 zł (471 euro) za życie jednego młodego człowieka, przy dochodach firmy w tym samym roku w wysokości 1,05 mld euro.

Śmierć przy taśmie

We wrześniu 2005 r. w łódzkiej fabryce włoskiej firmy Indesit zginął 21-letni Tomek Jochan, zgilotynowany przez maszynę, przy której pracował. Z maszyny dawno były zdjęte zabezpieczenia. Inaczej nie mógłby wyrobić normy (36 kuchenek na minutę) i zarobić na życie i spłatę kredytu. Za godzinę pracy dostawał 6,20 zł. W tym samym roku grupa Indesit osiągnęła wynik finansowy 76,4 mln euro, o 25 milionów więcej niż w 2005. Normy (ale nie płace) systematycznie podwyższano. Wzywała do tego włoska centrala. Indesit zaś realizował zobowiązania wobec inwestorów, aby ustawicznie zwiększać zyski kosztem potaniania pracy. Analogicznie zarządzane są dziś uniwersytety i szpitale czy domy opieki społecznej.

...oraz dzień pracy pani minister

8 Marca 2010 „DGP" zamieścił wywiad z Anną Streżyńską, szefową UKE. Opowiada o swoim dniu pracy: od 5.30 do 1 rano, z dwugodzinną przerwą na rodzinę i dzieci. Ma dobre wynagrodzenie i męża, który zajmuje się córkami. „Chciałabym zobaczyć słońce i być na powietrzu dłużej niż przez 3 tygodnie w roku. Po prostu ilość pracy mnie przerasta. Pięć lat temu mieliśmy 40% obecnych zadań. Nasz budżet wynosił ok. 80 mln zł rocznie. Dziś mamy taki sam budżet, tyle samo pracowników, tylko o wiele więcej zadań. I wciąż dochodzą nowe". Któregoś dnia pani minister wyjechała z pracy karetką pogotowia.

Na taki układ nie pójdę

W klinice kardiochirurgii dziecięcej łódzkiego Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki korygowane są wady serca u noworodków. Bez tych operacji dzieci nie mają szans na życie. Ale klinika nie dostaje pieniędzy za co trzecie dziecko leżące na oddziale. Szpital ma funkcjonować jak firma. Powinien ratować tych chorych, za których płaci NFZ. „To by znaczyło, że noworodki z najcięższymi wadami musiałbym odsyłać z kwitkiem. Ja na taki układ nie pójdę", mówi profesor Moll. Takie postępowanie, zgodne z sumieniem, prawami człowieka i sprawiedliwością społeczną, prowadzi to do zadłużenia szpitali. Neoliberalnym zarządcom naszego życia daje to pretekst do twierdzenia, że ochrona zdrowia jest niewydolna i trzeba ją dalej reformować. Owszem, ale jak?

Co łączy te przykłady?

Takie przykłady osaczenia ludzkiego ciała, stawiania ludzi w sytuacjach bez wyboru, kiedy muszą podejmować śmieciową pracę albo pracować ponad siły, można znaleźć w każdym mieście. Niewidzialny rynek współpracuje z widzialną ręką prawa. Na początku lat 90. kodeks pracy był grubą książką, obecnie to mała broszura. Jak wskazują sondaże, większość ludzi w Polsce nie ma poczucia egzystencjalnego bezpieczeństwa. Oficjalne statystyki pomniejszają skalę ubóstwa, podczas gdy neoliberalny dyskurs publiczny przerzuca winę na ubogich. Opór spotyka się z represją. Pielęgniarki, które angażują się w działalność związkową, nie dostają pracy w prywatyzowanych szpitalach.

Towarzyszy temu zmiana języka. Prawa do godziwych wynagrodzeń, emerytur i pomocy społecznej, do edukacji, do czystego środowiska to w neoliberalnym dyskursie nie prawa, ale przywileje, obywatele to klienci, a sfera społeczna to rynek usług publicznych. Zasady zarządzania zyskiem w firmie przeniesione zostały do zarządzania państwem. Komercjalizacja czy prywatyzacja sfery społecznej (edukacja, ochrona zdrowia, mieszkania, zabezpieczenia społeczne, kultura, ochrona środowiska) powoduje, że prawo do życia mają zamożne, utrzymujące wiarygodność kredytową jednostki, które stać na prywatną subskrypcję składek emerytalnych czy ubezpieczeniowych. A życie większości ludzi przeznaczone jest, jak pisał Zygmunt Bauman, na przemiał.

Władza jest najskuteczniejsza wtedy, kiedy jest niewidoczna, kiedy nie jest nazwana i poddana krytyce. Nie ma wówczas określonego i uchwytnego przeciwnika, któremu można sie sprzeciwiać. Polityczne stawki są niejasne, można się co najwyżej spierać o detale, a ruch protestu jest rozproszony. Dokładnie z taką sytuacją mamy dzisiaj do czynienia w Polsce, gdzie wielu rzeczy nie nazywa się po imieniu. Jedną z nich jest powszechność i wszechstronność ekonomicznego ucisku i osaczenia ciała. Panuje niepodważalna władza normy ekonomicznej efektywności. Dlatego musimy nazwać przeciwnika: neoliberalny finansowy kapitalizm. Jak w starej bajce, żeby poznać króla, trzeba go zobaczyć bez ubrania. Pojęcie kapitalizmu zniknęło z publicznego dyskursu. Transformacja była nazywana przejściem od zacofania, totalitaryzmu i ubóstwa do wolności, demokracji i bogactwa. Jak się okazało, wolność, demokrację i bogactwo dla niewielkiej grupy zarządców transformacji osiąga się kosztem szerokich rzesz ludzi.

Kolejne wyzwanie, jakie przed nami stoi, to zaprojektowanie alternatywnych, zielonych wizji gospodarki. Chodzi o gospodarkę opartą na prawach człowieka (w tym prawach socjalnych) i wywierającą mniejszą presję na ludzi i środowisko. Konieczne jest odtworzenie lokalnych gospodarek nastawionych na zaspokajanie potrzeb i zmniejszenie zależności od rynków finansowych. Globalne hiperkonkurencyjne rynki działają jak wojenna maszyna, która przemiela ludzi i środowisko, żeby przyspieszać produkcję zysków. System jest postawiony na głowie. Trzeba odzyskać państwo, odzielić rynek od sfery społecznej i przeprojektować strategie rozwoju. Państwo to nie firma, a gospodarka powinna służyc przede wszystkim zabepieczaniu egzystencjalnych potrzeb wszystkich ludzi bez bezpowrotnego niszczenia środowiska.

Ewa Charkiewicz – transdyscyplinarna badaczka naukowa, członkini Zielonych 2004, inicjatorka Think Tanku Feministycznego oraz Lewicowej Sieci Feministycznej Rozgwiazda. W latach 90. i 2000. koordynowała Grupę Doradczyń ds. Gender Banku Światowego. Pracowała na uczelniach w Holandii, USA i Indii, w tym jako wykładowczyni gender i rozwoju w Instytucie Nauk Społecznych w Hadze. W latach 80. animatorka ruchu Wolę być.

Staruchy wszystkich stanów, nie dajmy się!

Lech Mergler

W obiegu „antydyskryminacyjnym" dominuje chyba tematyka dyskryminacji, którą określić można jako **tożsamościową.** Jej wyraz to **figura Obcego**: gnębię cię, nie lubię, nienawidzę, gardzę tobą, boję się, bo **jesteś inny**, niż ja, niż my. Bo jesteś rudy, gruby, nie jesteś katolikiem, albo jesteś niepełnosprawny intelektualnie, jesteś gejem, pochodzisz z innej części kraju, nie jesteś etnicznym Polakiem tylko Żydem, Białorusinem albo Niemcem, itd. Dyskryminacja tożsamościowa wiąże się zwykle z wielką emocją. Ona chyba JEST emocją, a fundamentalne „racje" ją uzasadniające to alibi. Wrogość, wyższość, pogarda, obrzydzenie, lęk, gdy już są, nie potrzebują dowodu. Homogeniczność Polski psychologicznie legitymizuje dyskryminację tożsamościową. Naocznie bowiem widać, że dookoła prawie wszyscy są tacy sami z grubsza, co potwierdzają też mainstreamowe media, seriale TV, politycy, księża.

Wydaje mi się, że w sferze publicznej upowszechnia się dyskryminacja, którą możnaby dość niezdarnie nazwać dystrybucyjną. Chodzi o dyskryminację na tle dystrybucji dóbr, powszechnie pożądanych i potrzebnych do życia, których pula jest ograniczona a dostępność nietrwała. „Dyskryminacja dystrybucyjna" wiąże się z propagandą „produktywności" ekonomicznej i trywialnego „progresywizmu" (*ma być wszystkiego więcej, aby było lepiej*).

W pewnym stopniu „dyskryminację dystrybucyjną" można kojarzyć z niesprawiedliwością i nierównością w dostępie do dóbr. Najbardziej podlegają jej ludzie najstarsi i najmłodsi, czyli dzieci, co wskazuje na **istotną oś ejdżyzmu** (*dyskryminacji ze względu na wiek – przyp. red*) w Polsce – uderza on w grupy wiekowo skrajne. Kondycja ekonomiczna dzieci w Polsce jest na tle Europy zła. Jednak klepiące biedę na dużą skalę dzieci, nie stają się przedmiotem „dyskryminacji dystrybucyjnej".

Jedną bowiem rzeczą jest nierówność w dostępie do dóbr. Drugą – narracja, która ją „opakowuje" w sensy i znaczenia, wyznaczające społeczne emocje. W przypadku biedy dzieci, mamy do czynienia z narracją obłudną – udawanym przejmowaniem się (dzieci nie mają co jeść, ale dalej zbieramy na nowe auto, a wojsko kupuje 48 sztuk F16 po 16 mln $ za jeden).

W związku ze wzrostem liczby ludzi starszych, mamy w sferze publicznej do czynienia z ekspresją niepokoju. O to, że potrzeby życiowe tej coraz mniej „produktywnej" grupy stanowią „ciężar" dla „gospodarki" i „rozwoju". „Dyskryminacja dystrybucyjna" przeciwstawia sobie społecznych rywali do dóbr, tu – młodszych rywali ludzi starszych i starych. Dyskredytowanie zasadności udziału starszych w dystrybucji dóbr sprzyja, i służy, zmniejszaniu tego udziału w przyszłości. Dziś już straszy wizja katastrofy ekonomicznej, spowodowanej przez hordy staruszków używających życia na emeryturze „na koszt" ciężko tyrających młokosów.

Spójrzmy na kampanię propagandową w kwestii **wieku emerytalnego** i odsetka **pracowniczo nieczynnej** ludności starszej. Cała ta kampania ma cechy akcji dyskryminacyjnej, która ma zdyskredytować i zawstydzić seniorów biorących „za wcześnie" emerytury, leni nie pracujących po 50tce, kombinatorów-rencistów, dojących ogół produktywnych obywateli.

W Polsce po pięćdziesiątce pracuje 30 procent kobiet i 40 procent mężczyzn. To prawie najmniej w UE. Tylko 30 procent z nich uważa się za dość zdrowych. W ramach przywołanej kampanii nie postawiono jednak pytań o przyczyny tego stanu rzeczy. Kampania miała charakter prewencyjny, w celu uchronienia „produktywnej" i „rozwojowej" części społeczeństwa przed przyszłymi konsekwencjami faktu, że seniorzy, a raczej pre-seniorzy, za mało pracują. Są więc „winni"? Należy ich „ukarać"?

Analiza przyczyn mogłaby, na przykład, pokazać, że ludzie wcześnie odchodzą z pracy, bo stosunki pracy w Polsce są złe, poza enklawami humanitaryzmu wobec pracowników. Polacy pracują najwięcej w Europie, więc to może tłumaczy ucieczkę od pracy nieco starszych i ich zły stan zdrowia? Inne wyjaśnienie mogłoby pokazać masowość „usług domowych", świadczonych przez seniorów rodzinom swoich dzieci. Bez tego nie dałyby one sobie rady w nieprzyjaznym wobec rodzin z dziećmi otoczeniu kapitalizmu na dorobku.

Tak czy owak oficjalny dyskurs polityczny piętnując obecny sposób obecności w życiu społeczno-ekonomicznym mas ludzi starszych, nic nie proponuje poza ograniczaniem świadczeń. *Pro publico bono* macie pracować dłużej i więcej, a w jaki sposób to zrobicie – wasza sprawa. Jak nie, to do przytułku, kontenera (Poznań) albo na śmietnik. Gospodarki, społeczeństwa, nie stać na tolerowanie waszego masowego nieróbstwa na koszt innych!

Dobrze jest pracować jak najdłużej, byle z wyboru i żeby praca była dopasowana do możliwości, z wiekiem malejących. I żeby w ogóle była!!! Są jakieś wolne posady dla ludzi 50+? Władze nakręcające spiralę dyskredytowania ludzi starszych, jako podejrzanych obywateli gorszego sortu („ciężar dla gospodarki"), bez słowa o konieczności budowy systemu zróżnicowanych ofert pracy – tylko napuszczają obywateli na siebie. To są oczywiste jaja – 50-letni komandos wyskakujący ze spadochronem nad Afganistanem, który przez tydzień strzela, biega, nurkuje, wspina się po górach bez jedzenia, picia i spania, a po krótkiej regeneracji rusza na Antarktydę. Gliniarz z pałą i pistoletem po 60-tce, lub 70-letni murarz na wysokości. Prowokowanie niechęci i podejrzliwości wobec nas, staruchów, to dość obrzydliwe posunięcie demokratycznej władzy. Demokracja nie daje patentu na mądrość.

fot. Magda Mosiewicz

Lech Mergler: urodzony w Poznaniu (1955). Zawód wyuczony: inżynier-elektronik. Zawód wykonywany: redaktor. Wiceprezes **Stowarzyszenia My – Poznaniacy**, zabiegającego o zrównoważony rozwój miasta Poznania i partycypację społeczną.

Wcześniejszy felieton autora pod tym samym tytułem można przeczytać pod adresem strony *http://merkuriusz.com.pl/documents/pdf/200810/38.pdf#zoom=40*

„Złe dzielnice" układają budżet

Wojciech Kłosowski

Niemal każde większe miasto ma swoje „złe dzielnice": miejsca, w które nie zapuszczają się mieszkańcy dzielnic lepszych, gdzie nigdy nie zaglądają radni miejscy, gdzie – że tak powiem – diabeł mówi dobranoc. No, ale skoro mówi, to widocznie ma komu. Widocznie są tam, w owych „złych dzielnicach", jacyś mieszkańcy.

Są, choć nie ma o nich słowa ani w strategii rozwoju ich miasta, ani w lokalnych politykach rozwojowych. Są, choć milczy o nich lokalna gazeta (być może za wyjątkiem rubryki kryminalnej na ósmej stronie). Są, choć równocześnie ich nie ma.

Wykluczenie terytorialne to jeden z poważniejszych problemów współczesności: skoro rozważamy dziś coraz liczniejsze czynniki wykluczenia, jakie mogą rozbić spójność społeczną miasta i wyrzucić niektórych jego mieszkańców na margines, to warto wśród innych czynników pamiętać o „złym miejscu zamieszkania".

fot. Magda Mosiewicz

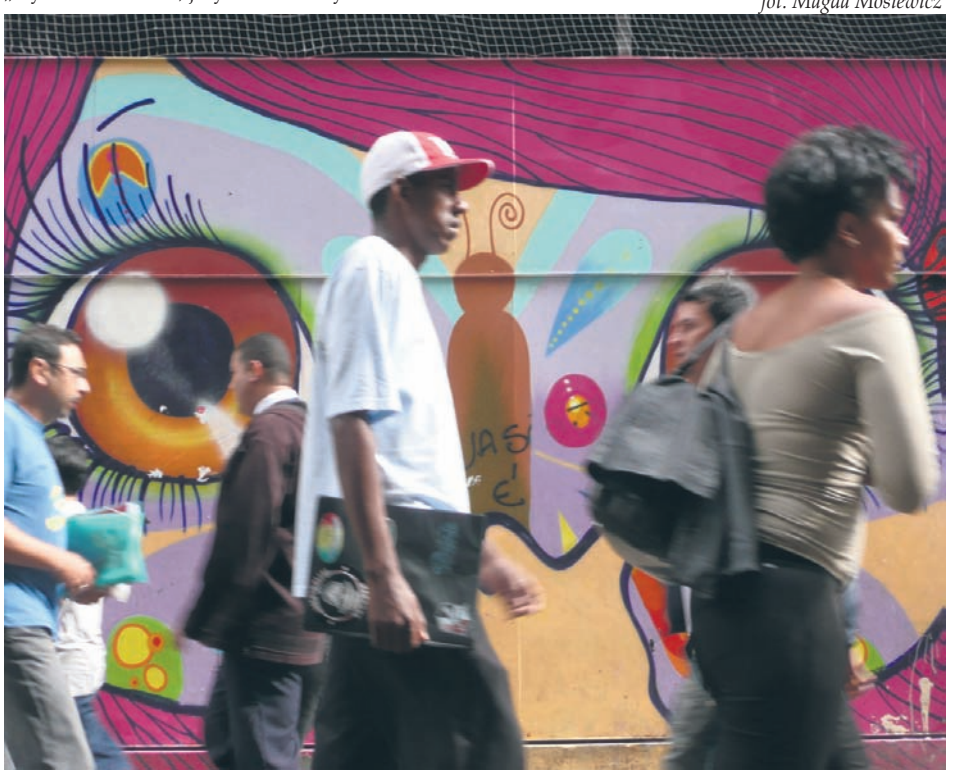

Ludzi wykluczonych terytorialnie nie zauważa się, są niewidzialni. Odruchem decydentów miejskich jest koncentrowanie wydatków na dzielnicach lepszych, a pomijanie dzielnic „złych". Tymczasem zamieszki paryskie z 2005 roku, które rozlały się ze sfrustrowanych przedmieść na całe niemal miasto, są dramatycznym przykładem skutków tego podejścia

Jednym ze sposobów przełamywania wykluczenia terytorialnego jest tak zwany budżet partycypacyjny, czyli układanie corocznego planu finansowania inwestycji miasta przy współudziale wszystkich mieszkańców. Budżetowanie partycypacyjne to zupełnie nowe podejście: uspołecznione, zakładające szeroki i współdecydujący udział mieszkańców przy tworzeniu budżetu. W Europie budżetowanie partycypacyjne stosują np. miasta portugalskie, a w miastach Brazylii jest ono stosowane od lat. Najbardziej znany przykład to Porto Alegre, miasto wielkości Warszawy. W tym artykule powołam się jednak na inny przykład: na miasto **Santo André**, jedno z miast tworzących aglomerację São Paulo, drugą co do wielkości aglomerację świata. Samo Santo André liczy sobie blisko 650 tys. mieszkańców (więc jest mniej więcej wielkości Wrocławia). Budżet partycypacyjny uchwala się tam od 1997 roku. Rzecz w tym, że procedura budżetowa musi z istoty obejmować całe miasto i nie może pomijać „złych dzielnic", a więc przełamuje ich wykluczenie: nie są mniej ważne niż dzielnice prestiżowe. W pierwszym roku w procesie uczestniczyło około 7 tys. osób. Z każdego okręgu i każdej sesji tematycznej wybrano po dwoje reprezentantów (radny/radna oraz zastępca), którzy po zaprzysiężeniu stali się członkami *Rady Budżetu Partycypacyjnego*.

Jak tworzy się taki partycypacyjny budżet? Pierwszy etap ma charakter informacyjny: władze samorządowe prezentują publicznie, jak w poprzednim roku wydały pieniądze na inwestycje w poszczególnych okręgach. Ta faza ma kapitalne znaczenie edukacyjne, ponieważ podczas debat mieszkańcy dowiadują się o konstrukcji budżetu, zasadach prawnych dotyczących finansów publicznych, realiach prowadzenia inwestycji miejskich itd.

Decydujący jest drugi etap prac, trwający przez czerwiec i lipiec. W tej fazie zostają wybrane priorytety do sfinansowania: po trzy dla każdego okręgu i dwa dla miasta jako całości oraz priorytety grup tematycznych. Ta faza procesu to także moment, kiedy uczestnicy sesji plenarnych wyłaniają swoich przedstawicieli do *Rady Budżetu Partycypacyjnego* (RBP).

Wybór RBP rozpoczyna III etap prac. Ponieważ RBP musi skierować gotowy projekt budżetu do *Câmara Legislativa* (odpowiednik naszej Rady Miasta) najpóźniej trzydziestego września, prace III etapu są bardzo intensywne. Rozpoczyna je profesjonalne przeszkolenie nowo wybranych członków RBP w zakresie prawa budżetowego. W tym czasie odbywa się też „Objazd Priorytetów": wizyty w terenie i ocena stanu faktycznego. Następnie RBP około półtora miesiąca pracuje intensywnie w grupach roboczych, negocjując niektóre kwestie z przedstawicielami samorządu. Gotowy projekt budżetu jest kierowany przed końcem września do Câmara Legislativa, która ma czas na przyjęcie budżetu do końca listopada.

Taka procedura może być bez przeszkód i od razu zaimplementowana w Polsce, bo brazylijskie regulacje prawne nie różnią się zasadniczo od polskich. RBP nie jest formalnym organem, a *Câmara Legislativa* nie jest związana w sensie prawnym ustaleniami RBP. Ale w praktyce nie zdarza się zmienianie ustaleń Rady: na straży tych ustaleń stoi lokalne społeczeństwo obywatelskie i jego szerokie porozumienie, wynegocjowane ponad podziałami politycznymi. Korzyść dla społeczności lokalnej i miasta jest oczywista: mieszkaniec faveli zaczyna czuć się takim samym obywatelem, jak jego bogaty sąsiad z dzielnicy willowej. Jest włączony w proces decydowania o mieście.

Ciekawi mnie, które z polskich miast pierwsze odważy się układać swój budżet wspólnie z mieszkańcami. Wrocław? Poznań? Szczecin? Może dowiemy się tego wkrótce. Trzymam kciuki.

Wojciech Kłosowski jest specjalistą w dziedzinie strategicznego planowania rozwoju lokalnego, autorem licznych książek z tej dziedziny, doradcą samorządów lokalnych w kilku krajach. Wykłada zarządzanie w Wyższej Szkole im. J. Tyszkiewicza

Panna pod niedźwiedziem

Hanna Gill-Piątek

Tomaszów Mazowiecki! W herbie miasta: panna na niedźwiedziu. Wystarczyłby jednak sam niedźwiedź, bo panny (i panie) w tym mieście raczej mają przerąbane. Oto przykład: dwie panie otworzyły szkołę. Niestety, miejscowy proboszcz wyszedł z gawry i zaryczał, że nie dopuści do komunii dzieci z tej szkoły. Dlaczego? Bo założycielki są ewangeliczkami. Zażądał, żeby heretyczki wyniosły się z miasta, albo...

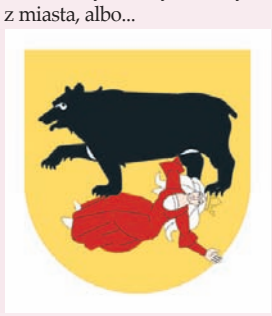

Ale łapa spada tu nie tylko na panie. Żeby zostać prawdziwym facetem, trzeba przejść przez niedźwiedzią inicjację. Pewien gimnazjalista był bestialsko dręczony przez kolegów. Matka chłopaka bezskutecznie błagała o pomoc dyrektora szkoły. Kiedy syn wrócił do domu z siniakami na całym ciele, kobieta poszła do prezydenta miasta. Pech chciał, że dyrektor był radnym powiatu. Niedźwiedź niedźwiedziowi oka nie wykole: Rada Miejska zaprzeczyła jakimkolwiek błędom w szkole. Naprawdę. Jakimkolwiek.

W obronie niedźwiedzich metod wychowawczych wypowiedział się wtedy wiceprzewodniczący Rady, Tadeusz Adamus. Adamus to miś-orkiestra: przewodniczył komisji budżetowej, szefował klubowi PO, zarządzał klubem sportowym, budował drogi, sprzedawał udziały w miejskich spółkach, nadzorował szpital, dom kultury, psie schronisko i przedszkole, pracował w oczyszczalni ścieków, zdobywał unijne fundusze, redagował lokalny Biuletyn Informacji Publicznej, robił w Instytucie Informatyki Śledczej, w Sekcji Informatyki Sądowej Polskiego Towarzystwa Informatycznego i - jako biegły sądowy – w Sądzie Rejonowym. No i pisał na portalu NaszTomaszow.pl

Dzięki niemu zyskał szerszą sławę: w styczniu jego tekst stał się przyczyną ogólnopolskiego skandalu. Słowa skierowane do krytycznej dziennikarki: „pani redaktor, jako mniejszość seksualna, nie ma najmniejszych szans zostać kiedykolwiek radną" zostały poparte stwierdzeniem „parytety to porażka, bo trzeba myśleć głową a nie jajnikami". Efekt: Adamus stracił legitymację PO. I nic więcej. Tomaszowskie misie złożyły wyrazy solidarności. A radny nadal jest wiceprzewodniczącym. I prowadzi oskarżycielskiego bloga, bo „typowy człowiek i jego poglądy są deptane przez rozhisteryzowane mniejszości (seksualne, etniczne, religijne i inne)".

Misiowy portal NaszTomaszow.pl nie opuścił Tadeusza Adamusa w potrzebie. Jedna z ilustracji: wściekła baba z młotem... Interesujące, że naczelnym portalu jest były radny Mariusz Strzępek, informator-inspirator w seksaferze, która pogrążyła Samoobronę. Ten sam, który w nagranej rozmowie zdradził światu ambitne plany, żeby „roz...ć koalicję w Polsce". Z ogólnopolskiego tournee Strzępka nic nie wyszło, ale wspierać seksistowski stereotyp nigdy nie zaszkodzi.

W obronie znieważonej dziennikarki stanęła Kampania Przeciw Homofobii. Zaoferowała pomoc prawną w planowanych procesach. Jednak radny Adamus nadal chodzi po Tomaszowie w glorii "typowego człowieka", którego rozdeptały rozhisteryzowane mniejszości. Czyli jak na razie niedźwiedź jest na wierzchu.

Pełna wersja tekstu ukazała się na portalu Krytyki Politycznej w marcu 2010: http://www.krytykapolityczna.pl/Hanna-Gill-Piatek/Panna-pod-niedzwiedziem/menu-id-192.html

Prawo do adopcji

Adam Ostolski

W rozmowie o adopcji dzieci przez osoby i pary homoseksualne bardzo często pojawia się argument, polegający na tym, że prawom LGBT przeciwstawia się prawa dziecka. Albo – albo, powiada się. Musimy wybierać. Nawet jeśli lesbijki i geje mogą być prywatnie dobrymi rodzicami, to przecież ich dzieci będą na pewno wyśmiewane lub prześladowane w szkole czy na podwórku.

Z jednej strony mamy abstrakcyjne prawa mniejszości, z drugiej – realne ludzkie cierpienie. Dopóki nie zmieni się mentalność, z rozmową o adopcji musimy poczekać. A mentalność nie zmienia się przecież tak prędko.

Prawa dziecka to bardzo poważna sprawa. Jeśli istnieje wątpliwość, czy umożliwienie adopcji parom tej samej płci jest korzystne z punktu widzenia dobra dziecka, to trzeba się temu bardzo uważnie przyjrzeć. Sceptycy uważają, że jeśli nie pozwolimy na adopcję dzieci przez pary jednopłciowe, to unikniemy sytuacji, w której dzieci te będą dręczone przez rówieśników. Innymi słowy, sposobem na zapobieganie dręczeniu dzieci przez rówieśników jest niedawanie pretekstu do dręczenia. Jak nie będzie dzieci par homoseksualnych, to nie będzie wyśmiewania dzieci z powodu seksualności rodziców. Proste?

Niby proste, ale przyjrzyjmy się, jak by to działało w innych przypadkach.

Mam przyjaciela, który był w podstawówce dręczony przez rówieśników jako Żyd. Nie, nie to, żeby jakoś wyróżniał się wyglądem. Po prostu jego rodzice byli Żydami. Co się jego kolegom nie podobało. Potrafię to sobie wyobrazić, bo sam chodziłem przez jakiś czas do jednej klasy z kolegą, który był Romem. „Chodziłem" to dużo powiedziane. Kolega pojawił się na zajęciach parę razy w ciągu roku. Nie był szczególnie lubiany: „To Cygan, a do szkoły chodzi w kratkę!". Sam go zaakceptowałem dopiero, kiedy

ciocia wytłumaczyła mi, że bycie Cyganem to nic złego, a chodzenie do szkoły w kratkę to zapewne sprawka rodziców. Ale nie każdy ma mądrą ciocię, a zjawisko niechęci do Romów to niestety realny problem. Co by było, gdybyśmy spróbowali rozwiązać ten bolesny problem w podobny sposób, jak problem wyśmiewania dzieci par homoseksualnych? Czy należałoby zabronić mniejszościom narodowym i etnicznym posiadania dzieci, aby uchronić je przed dręczeniem w szkole? Czy i w takich przypadkach mamy do czynienia z konfliktem między prawami mniejszości a prawami dziecka? Brzmi drastycznie, ale jeśli chcemy rozumieć prawa dziecka w taki sposób, jak przeciwnicy prawa do adopcji przez osoby LGBT, to nie mamy innego wyjścia. Logika zobowiązuje.

To jednak nie wszystko. Miałem też w szkole kolegę, który był rudy. Oj, ten to nie miał życia. Po roku rodzice przenieśli go do innej szkoły, albo może wyjechali za granicę, nie pamiętam. Inny kolega był z kolei gruby. Ten miał łatwiej. Niektórzy się nawet z nim bawili. Fakt, że czasem zdarzało się, że pobiła go grupka szkolnych chuliganów, ale to nie zdarzało się tylko jemu. Właściwie każdy chłopiec, który słabiej sobie radził na wuefie, mógł się spodziewać, że prędzej czy później ktoś go trochę poturbuje. Najlepiej pod tym względem miały dzieci niepełnosprawne, bo w ogóle do szkoły nie chodziły, to i nikt ich nie bił. O tym, że istnieją, wiedziałem od zaprzyjaźnionych nauczycielek, które popołudniami udzielały im lekcji w domu. Wtedy myślałem, że to bardzo smutne. Dziś jednak – zwłaszcza, gdy czytam wypowiedzi przeciwników adopcji dzieci przez rodziny jednopłciowe, głęboko zatroskanych o los, jaki czekałby te dzieci w szkole i na podwórku – zastanawiam się, może to jest jakiś model... Gdyby tak dla rudych, otyłych, niepełnosprawnych i gorzej radzących sobie na wuefie stworzyć system nauczania domowego? Albo jako tańszą namiastkę chociaż osobne szkoły? Dzieci nie byłyby już w szkole dręczone, a wiadomo, że mentalność nie zmienia się z dnia na dzień. Może to brzmi drastycznie, ale jeśli chcemy rozumieć prawa dziecka w taki sposób, jak przeciwnicy prawa do adopcji przez osoby LGBT, to nie mamy innego wyjścia. Logika zobowiązuje...

Na szczęście możemy na kwestię praw dziecka spojrzeć w inny sposób. Nie musimy godzić się z mentalnością podwórka. Możemy zakwestionować codzienną przemoc, jaką wypełniony jest świat dzieciństwa: przemoc w rodzinie, w grupie rówieśniczej, czy pełną wzajemnej przemocy hierarchię w relacjach między nauczycielami a uczniami. Już dziś możemy wprowadzić do szkół edukację nastawioną na docenianie różnorodności, asertywność, współpracę, umiejętność komunikowania swoich emocji. Kierunek wskazują pilotażowe programy prowadzone przez niektóre NGO. Na przykład Feminoteka od kilku lat prowadzi szkolenia WenDo dla gimnazjalistek – wychodząc z założenia, że odpowiedzią na przemoc wobec dziewczynek nie jest ubieranie wszystkich w mundurki i instalowanie wszędzie kamer, lecz nauczenie dziewczynek, jak na agresję skutecznie odpowiadać. Podobnie Fundacja „Porozumienie Bez Przemocy" od lat przekazuje nauczycielom i nauczycielkom oraz uczniom i uczennicom umiejętności porozumiewania się w sposób wolny od słownej i emocjonalnej przemocy, budujący między ludźmi więzi zaufania i zrozumienia, a nie hierarchii. Gdyby szkolenia takie uczynić obowiązkowym elementem edukacji, jako coś w rodzaju szkolnego bhp, wówczas nie tylko nasze szkoły i podwórka, ale całe społeczeństwo wyglądałoby inaczej.

Rozmowa o prawie do adopcji musi być od początku powiązana z szerszym pytaniem o to, jaki świat chcemy dla dzieci – naszych i nienaszych – budować. Czy jesteśmy gotowi podjąć pracę nad tym, by był to świat przyjaźniejszy i mniej hierarchiczny? Uznanie prawa do adopcji przez osoby LGBT to także zobowiązanie do budowania społeczeństwa, w którym każde dziecko – żydowskie i romskie, rude i otyłe, niepełnosprawne i obdarzone bujną wyobraźnią – będzie się czuło bezpiecznie.

Nie musimy chować głowy w piasek. Mamy wybór. Możemy akceptować pełną przemocy realność szkoły i podwórka. Wtedy zarówno prawa osób LGBT, jak i prawo dziecka do bezpiecznego świata traktujemy jako kwestie, które „mogą poczekać". Albo możemy już dziś działać na rzecz prawa osób LGBT do adopcji. W ten sposób dajemy sobie jeszcze jeden powód, by pracy nad stworzeniem dla dzieci lepszego świata nie odkładać na jutro.

Adam Ostolski – socjolog, publicysta. Członek Krytyki Politycznej i Zielonych 2004. Wykłada na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym.

fot. Magda Mosiewicz

O poznańskich Dniach Równości i Tolerancji

z Aleksandrą Sołtysiak rozmawia Przemek Wiśniewski

Przemek Wiśniewski: Spotykamy się tuż przed EuroPride w Warszawie. Dlaczego w Poznaniu, zawsze w listopadzie, odbywa się Marsz, a nie – jak w Warszawie – Parada Równości?

Aleksandra Sołtysiak: Marsz Równości odbywa się z okazji Międzynarodowego Dnia Równości i Tolerancji UNESCO. Ten kontekst był dla nas ważny i dlatego zdecydowaliśmy się na organizację

demonstracji żądającej równych praw dla wszelkich mniejszości i rozmaitych grup wykluczonych, w tym oczywiście gejów i lesbijek. Parada kojarzy się raczej z zabawą, kolorami. Nie chcieliśmy po prostu pokazać, że jesteśmy. Chcieliśmy być waleczni. Szliśmy po coś. Dziś te różnice między marszami i paradami nie są tak istotne.

P. W.:Wspomniałaś o tym, że Marsz „reprezentował" rozmaite grupy, które są piętnowane społecznie. Złośliwi mówili, że staraliście się stworzyć bardziej strawną formułę działań na rzecz środowisk LGBTQ...

A. S.: Dzień równości i tolerancji to święto akcentujące dwa bardzo dla nas ważne hasła. Nie można selektywnie traktować tego, o interesy jakich grup walczymy. Tak, budujemy szeroki front, bo nie postrzegamy praw grup LGBTQ jako oderwanych od rzeczywistości społecznej, prawnej, ekonomicznej. Mechanizmy opresji, napotykane problemy i poczucie braku społecznej akceptacji są często podobne, choć oczywiście nie sposób zatrzeć pewnych wyraźnych różnic. Trudno ignorować fakt, że to wobec mniejszości seksualnych w Polsce kierowana jest olbrzymia nienawiść środowisk konserwatywnych. Dlatego zawsze występowaliśmy na rzecz środowisk LGBTQ. Robiliśmy to od początku, a potem zaczęliśmy walczyć o prawa osób starszych czy upośledzonych ruchowo.

P. W.: To bardzo ciekawe, bo tworząc taki szeroki front, oswajaliście te grupy z obecnością mniejszości seksualnych w sferze społecznej. W ten sposób pracowaliście na rzecz scalania różnych mniejszości. Podkreślając podobieństwo problemów i interesów, a jednocześnie nie zacierając różnic, udało się wam scalać rozmaite grupy mniejszościowe w szerszą reprezentację.

A. S.: Udawało nam się to stopniowo. Nie chcieliśmy, by nasi partnerzy czuli się instrumentalnie wykorzystani. Musieliśmy wzbudzić ich zaufanie, wzajemnie się z nimi rozpoznać. To była wielka praca, społeczne działanie, które bardzo wiele nas wszystkich nauczyło. Z roku na rok podchodziliśmy do innej grupy. Na początku zajęliśmy się osobami starszymi. Zwróciliśmy się do domów opieki społecznej o pozwolenie na dostarczenie tam różnych materiałów, które zwracały uwagę na to, że osoby starsze chcą jeszcze coś robić, być aktywne i że nie należy ich zamykać w czterech ścianach, bo przecież na emeryturze też mogą czerpać wiele z życia. Pracowaliśmy z nimi na warsztatach, część z nich zaangażowała się w inne nasze działania. Rok później zaczęliśmy pracować także z osobami głuchymi. Najfajniejsze, że te osoby bardzo chętnie podjęły z nami współpracę, bardzo się cieszyły, że wszystkie wydarzenia organizowane w ramach Dni Równości i Tolerancji były tłumaczone na język migowy, że im się poświęca uwagę.

P. W.: Czy zdarzyło się, że ktoś odmówił współpracy?

A. S.: Nigdy nie spotkaliśmy się z odmową. Jak się zaczyna z ludźmi rozmawiać i mówić, o co chodzi, to jest pełna akceptacja i zgoda. Problem jest jedynie wtedy, gdy nie sposób w ogóle rozpocząć rozmowy. Jak wiadomo, dla prawicowych organizacji nie jesteśmy partnerem… Jeśli jednak wywiązuje się jakakolwiek komunikacja, to efekty są zawsze pozytywne.

P. W.: A jak to się w ogóle zaczęło?

Wszystko zaczęło się od tego, że kilkoro aktywistów i aktywistek poznańskiego koła Zielonych 2004 spotkało się z dziewczynami z Konsoli. Te dwa środowiska dogadały się i podjęły w 2004 roku próbę przejścia przez poznańskie ulice z hasłami równościowymi. No i się nie udało.

P. W.: Ale rok później marsz był raczej pikietą. Bardzo głośną pikietą…

A. S.: W 2005 roku, już tym razem no logo, bezpartyjnie i szeroko, próbowaliśmy znów przejść ulicami Poznania. Niestety, prezydent Grobelny, dziś w Platformie Obywatelskiej, wydał zakaz, który później został uznany przez Naczelny Sąd Administracyjny za nielegalny. Mimo zakazu wyszliśmy na ulicę, co spotkało się z brutalną akcją policji. Ten marsz był znaczący dla całej Polski, gdyż pokazał, że mamy prawo demonstrować, że demonstracja jest pierwszym prawem demokracji. Zorganizowano solidarnościowe wiece w wielu miastach. Ten zakaz i to, co potem nastąpiło, np. reakcje za granicą, sprawiły, że już nigdy więcej nie zabroniono w Polsce podobnych działań.

P. W.: Co sądzisz o podejściu poznaniaków do tego wszystkiego, co dzieje się w ramach Marszów i w ramach Dni Równości i Tolerancji w Poznaniu? Najpierw wywoływały one sporo kontrowersji, kontrmanifestacje były duże. Ostatnio właściwie nie słychać już protestów.

A. S.: Myślę, że to efekt wielkiej solidarności okazanej nam w innych miastach. To był dla poznaniaków sygnał, że zwłaszcza w kwestii praw grup LGBTQ wielu ludzi w Polsce i poza nią myśli podobnie jak my. To zaś otworzyło drogę do zrozumienia naszych postulatów. Wydaje mi się, że dziś poznaniacy uważniej wsłuchują się w nasze hasła i z większością z nich zapewne się zgadzają. Tego zrozumienia jest chyba coraz więcej także w Krakowie i Warszawie, gdzie również odbywają się podobne manifestacje.

P. W.: Dziękuję za rozmowę i do zobaczenia w listopadzie na siódmych Dniach Równości i Tolerancji.

Aleksandra Sołtysiak – działaczka Stowarzyszenia Kobiet Konsola i Zielonych 2004, współorganizatorka poznańskich Dni Równości i Tolerancji oraz poznańskich Manif. Zaangażowana w akcję zbierania podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o parytetach, m.in. to dzięki niej w Poznaniu udało się zebrać 10 tys. podpisów.

Jesteśmy dostatecznie silni by walczyć o swoje prawa

Krystian Legierski

Sytuację prawną związków tworzonych przez osoby tej samej płci można uregulować na co najmniej cztery sposoby: w formie małżeństwa, związku partnerskiego, umowy cywilnoprawnej lub konkubinatu.

Umożliwienie parom jednopłciowym zawierania małżeństwa wymagałoby w Polsce zmiany konstytucji, natomiast wprowadzenie związków partnerskich jedynie przyjęcia odpowiedniej ustawy. Te dwa modele różni to, że w przypadku związków partnerskich partnerzy lub partnerki mają mniej praw. Na przykład nie mogą wspólnie adoptować dziecka, często nie mogą nosić wspólnego nazwiska, mimo zawarcia związku nadal są kawalerem lub panną itd. Jednak w obu przypadkach osoby chcące zawrzeć związek w zasadzie nie mają wpływu na prawa i obowiązki, jakie na siebie przyjmują. To ustawodawca określa, do czego każdy z partnerów we wzajemnych relacjach jest zobowiązany, a do czego upoważniony. Na przykład osoby zawierające małżeństwo są z mocy prawa zobowiązane do wspólnego pożycia, wierności, wzajemnej pomocy, współdziałania dla dobra rodziny czy obowiązku alimentacyjnego w określonych przypadkach. Tych zobowiązań małżonkowie nie mogą wyłączyć, nie mogą ich też rozszerzyć.

Inaczej jest, jeśli związek zawiera się w formie umowy cywilnoprawnej. W tym przypadku to osoby zawierające związek decydują o tym, jakie prawa i jakie obowiązki chcą na siebie przyjąć. Mogą te prawa i obowiązki określić na wzór małżeństwa, mogą je ograniczyć, np. wyłączyć obowiązek alimentacji lub wierności. Ale mogą też je rozszerzyć, np. obowiązek alimentacyjny rozciągnąć również na przypadki nieprzewidziane w kodeksie rodzinnym i opiekuńczym.

Umowa cywilnoprawna oraz związek partnerski zasadniczo różnią sie od małżeństwa pod względem sposobu, w jaki ulega rozwiązaniu. Małżeństwo rozwiązuje się przez rozwód, co oznacza, że nie decydują o tym małżonkowie, lecz sąd. Małżonkowie mają jedynie prawo zwrócić się do sądu o orzeczenie rozwodu. Sąd decyduje po przeprowadzeniu rozprawy i zebraniu dowodów (polegających między innymi na pytaniu o to, czy wygasło życie intymne między małżonkami), z których jednoznacznie wynika, że wszelkie więzi łączące małżonków wygasły. Jeśli sąd dojdzie do wniosku, że pewne więzi między małżonkami nadal istnieją, rozwód nie zostanie orzeczony. Ale nawet jeśli nie istnieją już żadne więzi między małżonkami, sąd również z innych powodów może odmówić orzeczenia rozwodu. Natomiast związek partnerski i umowę cywilnoprawną rozwiązuje się wyłącznie na mocy decyzji parterów chcących się rozstać. Żaden sąd ani inna instytucja nie decyduje o tym, czy związek ma trwać nadal czy może się zakończyć. Jeśli jeden partner odmawia zgody na rozwiązanie związku, rozwiązuje się on na mocy wypowiedzenia składanego przez drugiego z partnerów.

Czwarty model to konkubinat. W modelu tym osoby, które żyją ze sobą w związku nieformalnym zyskują pewne prawa względem siebie, wynikające wyłącznie z faktu wspólnego pożycia. O nabyciu przez konkubentów określonych praw decydują takie okoliczności. jak np. długość związku lub złożone przed odpowiednim urzędem oświadczenie o pozostawaniu w związku. Z chwilą złożenia takiego oświadczenia lub udowodnienia pozostawania w związku przez określony czas partnerzy zyskują pewne prawa i obowiązki.

Warto podkreślić, że w ramach jednego państwa może występować jeden model otwarty dla par homo- i heteroseksualnych (np. małżeństwo). Ale mogą też występować równolegle dwa lub więcej

Jonas Gardell i jego partner Mark Levengood. Fot. sv.wikipedia.org

rozwiązania. Są kraje, w których małżeństwo jest otwarte dla par homo- i heteroseksualnych, oprócz tego zaś istnieją związki partnerskie (również otwarte dla wszystkich bez względu na orientację) oraz konkubinaty.

Moim zdaniem najlepiej byłoby uregulować sytuację związków partnerskich w formie umowy cywilnoprawnej. Uważam tak z kilku powodów. Po pierwsze ustawa taka daje osobom tworzącym związek wolność określania własnej sytuacji prawnej, co wydaje mi się niezwykle ważne i odpowiadające oczekiwaniom współczesnego człowieka. Po drugie rozwiązanie takie jest atrakcyjne również dla osób heteroseksualnych jako alternatywa dla małżeństwa (związek partnerski, będący w zasadzie ułomną wersją małżeństwa, nie może stać się atrakcyjną alternatywą). Po trzecie model umowy cywilnoprawnej jest krokiem naprzód w myśleniu o związku. Sądzę, że obecnie ludzie najczęściej wiążą się w pary po to, żeby być ze sobą szczęśliwymi i spełnionymi. A jeśli dzieje się inaczej, to związek niekoniecznie stanowi dla nich wartość samą w sobie.

Co ważne, uchwalenie ustawy regulującej sytuacje prawną związków jednopłciowych w dowolnym modelu przy odpowiedniej woli ustawodawcy może załatwić wszystkie problemy i zagwarantować pełną równość z małżeństwami heteroseksualnymi. Jest to możliwe nawet w przypadku związków partnerskich. W pewnych systemach prawnych małżeństwa są przeznaczone wyłącznie dla par hetero-, a związki partnerskie dla par homoseksualnych, ale zakres praw jest identyczny, włączając w to możliwość adopcji dzieci. Można sobie wyobrazić również sytuację, w której model umowy cywilnej gwarantuje wszystkie prawa zawarte w instytucji małżeństwa, a dodatkowo daje również możliwość osobistego kształtowania własnych praw w związku.

Nic się jednak nie uda, jeśli środowisko osób o progresywnych poglądach nie będzie umiało zrozumieć, zbudować i wykorzystać naszej potencjalnej siły politycznej. Nasze oczekiwania mogą na długo pozostać w sferze życzeń. Podczas ostatnich wyborów prezydenckich uświadomiłem sobie, w jaki sposób należy tę siłę budować. Jedyną drogą jest bezwzględna walka o nasz własny interes, walka aż do momentu, kiedy nasze głosy lub ich brak zostaną docenione i wzięte pod uwagę. To zaś można osiągnąć tylko w jeden sposób: przez konsekwentne głosowanie wyłącznie na tę osobę lub partię, która wyraźnie zapowiada uchwalenie odpowiedniej ustawy. A jeśli takiej oferty nie kieruje w sposób wyraźny żadna osoba lub partia, to trzeba protestować poprzez oddawanie nieważnego głosu. Same tylko głosy gejów i lesbijek powyżej 18 roku życia to prawdopodobnie ok. 1,5 mln. Czyli dużo więcej, niż potrzeba do przechylenia szali w wyborach. Oczywiście nigdy nie będzie pełnej jednomyślności, ale nawet gdybyśmy przyjęli minimalistyczne założenia i zdołali zbudować siłę chociaż pół miliona świadomych i roszczeniowych wyborców, to jestem przekonany, że sukces mielibyśmy w kieszeni.

Krystian Legierski - prawnik, przedsiębiorca, działacz gejowski, współzałożyciel legendarnego klubu Le Madame. Członek Zielonych 2004. W TOK FM współprowadzi audycję „Lepiej późno niż wcale". Należy do Grupy Inicjatywnej ds. Związków Partnerskich

Pierwsza premierka

na świecie zawarła związek małżeński z osobą tej samej płci

Beata Maciejewska

Kilka tygodni temu, w pierwszym dniu funkcjonowania w Islandii nowego prawa o związkach małżeńskich (27 czerwca 2010 r.) ślub wzięły 67-letnia premierka rządu Jóhanna Sigurdardóttir (na zdjęciu) i jej przyjaciółka, pisarka Jonina Leosdottir. Jóhanna Sigurdardóttir to pierwsza szefowa rządu na świecie, która ma małżonkę tej samej płci. Akceptacja par nieheteroseksualnych jest w Islandii powszechna, a odbiciem tego poparcia jest wynik głosowania ustawy zezwalającej na małżeństwa osób tej samej płci: została przyjęta przez parlament jednogłośnie (49 do 0 głosów). Podobnie jest w innych krajach Skandynawii. Mieszkańcy Sztokholmu, pytani kilka lat temu, kto byłby ich wymarzonym sąsiadem, na pierwszym miejscu wymieniali najczęściej szwedzką rodzinę królewską, a na drugim pisarza i teologa Jonasa Gardella, jego partnera, prezentera telewizyjnego Marka Levengooda i ich syna.Z punktu widzenia polskiego doświadczenia to oczywiście egzotyka. Obecny prezydent elekt Bronisław Komorowski w wyborczej debacie na pytanie o ustawę dotyczącą związków rejestrowanych odpowiadał: „To raczej wydumane pytanie, bo nie spodziewam się, by w najbliższym czasie taka ustawa była możliwa".

Komorowski wywołał oburzenie organizacji i osób działających na rzecz równości. Jednym z oburzonych jest Krystian Legierski z Zielonych 2004, członek powstałej w czerwcu 2009r. Grupy Inicjatywnej ds. związków partnerskich, która przeprowadziła konsultacje społeczne co do oczekiwań w zakresie regulacji prawnej związków partnerskich w Polsce i stworzyła projekt takiej ustawy. Legierski zadeklarował, że w drugiej turze wyborów nie odda głosu na Komorowskiego, bo w sumie nic go nie różni od kontrkandydata Jarosława Kaczyńskiego znanego ze swych homofonicznych poglądów. „Przaśna gęba Jarosława wystawiona przez Pana jako straszak nie jest dla mnie wystarczającym argumentem, żeby na Pana zagłosować – pisze Legierski w liście do Komorowskiego. – Rozumiem, że to, co ma Pan mi do zaoferowania, to wstydliwa dulszczyzna w kwestiach obyczajowych i liberalizm w kwestiach ekonomicznych. W zasadzie od dulszczyzny wolę awanturę, ponieważ w awanturze ludzie, choć w nieprzyjemny sposób, ale jednak szczerze, formułują własne sądy".

Tymczasem w Europie awantury dotyczące rejestracji związków osób tej samej płci stają się passé. Równouprawnienie niezależnie od płci staje się normą. Zawrzeć małżeństwo lub wejść w związek rejestrowany osoby tej samej płci mogą w większości krajów Unii Europejskiej. Polska wydaje się być – jak zwykle – ostatnim przyczółkiem ciemnogrodu.

Beata Maciejewska – dziennikarka, prezeska Fundacji Przestrzenie Dialogu, członkini Rady Krajowej Zielonych 2004

Ars Homo Erotica, czyli erotyka i estetyka jako polityka emancypacji w Muzeum Narodowym

Paweł Leszkowicz

Wystawa w Muzeum Narodowym, którą można oglądać do 5 września 2010 roku, jest znakiem kulturowej i obyczajowej „transformacji". Dzięki sztuce demokratyczna debata o prawach osób LGBTQ zostaje przeniesiona na wyższy poziom.

Problematyka praw społeczności LGBTQ jest tematem nierozwiązanych społecznych konfliktów w Polsce i wielu krajach Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie ruch emancypacyjny wciąż się rozwija i napotyka na polityczny i populistyczny opór. Ponadto kwestia homoseksualności jest nie tylko współczesną kategorią w odniesieniu do praw człowieka i mniejszości, ale i wielkim acz represjonowanym tematem w historii kultury. Dlatego Muzeum Narodowe ze swoją kolekcją dzieł z całej historii sztuki może aktywnie uczestniczyć w polityce przedstawiania tej innej kulturowej tradycji, celowo zapominanej i usuwanej. Ars Homo Erotica jest propozycją homoerotycznego spojrzenia na historię kultury, kolekcję muzeum i sztukę Europy Środkowo-Wschodniej. Dzieła wybrane ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie są zestawione ze sztuką współczesną. Kryterium selekcji nie jest tożsamość artysty lub artystki, ale temat dzieła. Aby uporządkować wielość przedstawień i metafor, ekspozycja została podzielona na dziewięć sekcji.

Ekspozycję rozpoczyna w holu głównym Czas walki poświęcony sztuce współczesnej wobec polityki seksualności i praw człowieka. W ten sposób wkraczamy w historię kultury, pokazując aktualną sytuację polityczną w Europie Środkowo-Wschodniej. Homoerotyczny klasycyzm poprzez rzeźby, kopie i cytaty antyczne prowadzi do greckich źródeł zachodniej cywilizacji, sztuki, erotyki i demokracji. Daje to wystawie historyczny i artystyczny kontekst. Akt męski przedstawia różne formuły zmysłowego aktu męskiego. Pary męskie i Ganimedes akcentują romantyczną i erotyczną ikonografię par męskich w pracach współczesnych oraz w dawnej metaforycznej sztuce mitologicznej i religijnej. Święty Sebastian to sekcja poświęcona największej homoerotycznej ikonie chrześcijaństwa i jej wcieleniom, od renesansowego malarstwa po sztukę wideo. Imaginarium lesbijskie jest kolekcją obrazów innej kobiecości w całej historii sztuki. Prezentujemy continuum kobiecego homoerotyzmu, które istnieje w kulturze wizualnej od Safony na antycznych wazach po współczesne portrety par lesbijskich. Transgender to sekcja wystawy i pojęcie dotyczące wyobrażeń tożsamości, które są pomiędzy płciami, przekraczających normatywny binarny system płciowy. Sztuka prowadzi od mitycznej androgynii do nowoczesnych maskarad i polityki podważania płci. Archiwum prezentuje polskie plakaty reklamujące słynne dzieła znanych homoseksualnych reżyserów, dramaturgów i artystów.

Zgodnie z tytułem jednej z sekcji – Transgender cała ekspozycja jest znakiem kulturowej i obyczajowej „trans-formacji". Poprzez sztukę przenosi demokratyczną debatę o prawach LGBTQ na wyższy poziom – jest próbą zamknięcia okresu, gdy otwarta homofobia była językiem medialnych i politycznych dyskusji na ten temat. Znamienna dla odbioru wystawy może być wypowiedź jednej z artystek, młodej ukraińskiej fotografki Anastasi Mikhno. Wykonała ona niezwykle uwodzące portrety androgynicznego, młodego mężczyzny po to, aby przeciwstawić się powszechnej na Ukrainie opinii, iż osoby transgenderowe są odpychające. Ona pokazała czyste piękno. Podobnie w Polsce często słychać głosy, iż homoseksualizm jest „nieestetyczny".

Queerowe tożsamości i erotyzm łączone są ze wstrętem. W ten sposób estetykę wykorzystuje się jako politykę społeczną w celach dyskryminacji ludzi. Dlatego jako kurator wystawy, właśnie dzięki estetyce homoerotycznej sztuki, przeprowadzam proces społecznej przemiany, która otwiera na odmienność. Przeciwstawiam się też takim przekonaniom, iż ciało męskie jest nieatrakcyjne, lesbijskie wyobrażenia niewidzialne, a tematyka homoseksualna jest kulturowym marginesem. Są to wszystko opinie wynikające z heteronormatywnego systemu ideologicznego, który Ars Homo Erotica transformuje. Zapraszam do przyłączenia się do tej transformacji. Wystawę można oglądać do 5 września 2010 roku. Ale Ars Homo Erotica to dopiero początek.

Paweł Leszkowicz – krytyk, eseista i wykładowca Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zajmujący się współczesną sztuką i kulturą wizualną oraz studiami nad seksualnością. Studiował m.in. w Courtland Institute of Art w Londynie i New School University w Nowym Jorku, kurator wystaw: Miłość i demokracja (Poznań 2005), Ars Homo Erotica (Muzeum Narodowe w Warszawie, 2010), współautor książki (z Tomkiem Kitlińskim) *Miłość i demokracja* (Kraków 2005).

Noszenie hidżabu może być manifestacją wolności

z Anną Boukhelkhal, architektką, feministką... rozmawia Mikołaj Iwański

Mikołaj Iwański: Kiedy mowa o islamie, często pojawia się wątek praw kobiet. W potocznym odbiorze islam często budzi niepokój. Tymczasem liczba wyznawców islamu w Polsce wciąż rośnie, a większość z nich stanowią kobiety. Kim są polskie muzułmanki?

Anna Boukhelkhal: - Większość polskich muzułmanek to konwertytki. Przyjmują islam w różnym wieku: jako nastolatki lub dojrzałe kobiety. Nie jest trudno stać się muzułmanką. Przyjęcie islamu nie wymaga skomplikowanych ceremonii i zaświadczeń. Wystarczy trzy razy w obecności świadków wypowiedzieć w języku arabskim szahadę – wyznanie wiary. Recytowana formuła musi wynikać z rzeczywistych przekonań, inaczej jest nieważna. Ale polskie muzułmanki nie lubią określenia konwertytka, wolą być po prostu nazywane muzułmankami. Podkreślają, że są tymi samymi dziewczynami, co przed zmianą wyznania.

> Muzułmanki krytykują eksponowanie nagości kobiet w kulturze europejskiej. Niepokoi je uprzedmiotowienie ciała kobiety. Dlatego noszenie hidżabu może być również formą manifestacji wolności kobiet, odwagi oraz sprzeciwu wobec takiego obrazowania kobiecego ciała

M. I.: To mimo wszystko w polskich warunkach dość niecodzienna decyzja. Jak wygląda przygotowanie do konwersji?

A. B.: Kobiety decydujące się na konwersję znają prawa i zasady religii, którą zamierzają praktykować. Często mają szeroką wiedzę o świecie islamu i o kulturze krajów muzułmańskich. Świat wyznawców islamu nie jest jednolity. Jego różnorodność wynika m.in. z podziału islamu na odłam sunnicki, szyicki i charydżycki. Kraje muzułmańskie mają także własne odrębne tradycje i zwyczaje. Część tych tradycji jest pozostałością czasów przedislamskich lub nadinterpretacją zasad religijnych. Nie bez znaczenia jest też kontekst polityczny. Polki przyjmujące islam na ogół nie dorastały w kulturze krajów muzułmańskich. Oderwane są od bagażu tradycji i zwyczajów krajów muzułmańskich, dzięki czemu mają możliwość obiektywnego i świeżego spojrzenia na islam. Dla wielu kobiet jest to coraz ciekawsza alternatywa wobec tradycyjnej religii katolickiej. Nierzadko twierdzą, że to właśnie islam chroni kobiety, chroni rodzinę, daje im prawa i przywileje, które są dla nich atrakcyjne. Ich opinia idzie pod prąd panujących stereotypów.

M. I.: Patrząc na rzeczywistość laicyzującej się Europy, w tym również naszego kraju, trudno znaleźć jednoznaczne zrozumienie dla takiej postawy. Islam nie ma dobrej prasy.

A. B.: Powstało sporo książek, filmów i programów publicystycznych obrazujących trudną sytuację kobiet europejskich, żon muzułmańskich mężów. Owszem zdarzają się różne sytuacje życiowe, ale nie dotyczą one wyłącznie krajów arabskich czy muzułmańskich. Czasami większe tragedie rodzinne zdarzają się w katolickiej Polsce, gdzie kobieta jest bita i poniżana przez męża alkoholika. A szczęśliwe muzułmańskie rodziny są najzwyczajniej nudne dla mediów i nie wywołują sensacji. Muzułmański mąż ma religijny obowiązek utrzymania rodziny i żony, dbania o nią i dzieci. Kobieta natomiast ma prawo do rozwodu, jeśli mąż nie spełnia swoich obowiązków. Kobieta decydująca się na związek z muzułmaninem powinna zapoznać się z prawami, jakimi rządzi się małżeństwo i posiadanie potomstwa. Do konwertytek zalicza się spora grupa kobiet „po przejściach", które decydują się na ponowne małżeństwo z mężczyzną, zapewniającym spokój i szczęście.

M. I.: Jak wygląda kwestia przestrzegania zaleceń dla ubioru kobiet? To nie jest chyba łatwe do zaakceptowania dla polskich dziewczyn?

A. B.: Zasadą nowo przyjętej religii jest również odpowiedni strój, który w kulturze europejskiej jest dość kontrowersyjny. Islam jednoznacznie określa, które partie ciała powinny pozostać zasłonięte, a które odkryte. Zakryta twarz nie jest zasadą islamu, lecz jego nadinterpretacją. Największe kontrowersje wzbudza hidżab, czyli chusta zakrywająca włosy. Jest to najbardziej widoczny element garderoby muzułmańskiej kobiety. Zasłona noszona jest poza domem, w obecności niespokrewnionych mężczyzn, a także w trakcie modlitwy. Hidżab to nie tylko strój, ale również postawa muzułmańskiej kobiety.

M. I.: W wielu krajach europejskich budzi to żywe kontrowersje…

A. B.: Chusta postrzegana jest przez niektórych Europejczyków jako symbol zniewolenia, lecz muzułmanki twierdzą, że hidżab stanowi formę wyzwolenia kobiet. Dzięki przesłanianiu swojej urody kobiety chcą być postrzegane jako osoby, a nie tylko ciała. Muzułmanki krytykują eksponowanie nagości kobiet w kulturze europejskiej. Niepokoi je uprzedmiotowienie ciała kobiety, odarcie z intymności w celu uzyskania różnych korzyści. Dlatego noszenie hidżabu może być również formą manifestacji wolności kobiet, odwagi oraz sprzeciwu wobec takiego obrazowania kobiecego ciała. Muzułmanka w chuście na polskiej ulicy może wzbudzić różne reakcje. Część kobiet restrykcyjnie podchodzi do kwestii ubioru, inne zachowują skromny europejski strój i nie zasłaniają włosów.

M. I.: A codzienne życie polskich muzułmanek?

A. B.: Komunikacja odbywa się często poprzez fora internetowe przeznaczone dla polskich kobiet muzułmanek. Tematy poruszane na forach są bardzo różne od przepisów kulinarnych po poważne religijno-filozoficzne dyskusje. Kobiety często udzielają sobie porad i wsparcia w trudnych sytuacjach, ale nie brakuje również ostrych wymian poglądów. Oprócz grupy dyskusyjnej fora dysponują bazą informacji w tematyce islamu, interpretacji Koranu, praw kobiet, przepisów prawnych, przepisów kulinarnych, adresów sklepów z żywnością halal czy garderobą. Nie wolno tylko głosić poglądów sprzecznych z islamem, eksponować swoich poglądów politycznych oraz głosić treści nawołujących do nienawiści.

M. I.: Trudno jest chyba budować społeczność w rozproszeniu?

A. B.: Każde większe miasto posiada ośrodek gminy muzułmańskiej, w którym spotykają się również kobiety. Niektóre panie specjalnie przyjeżdżają z mniejszych miejscowości. Spotkania mają zróżnicowany charakter i nie są prowadzone wyłącznie w celu studiowania religii czy wspólnej modlitwy. Jest to również doskonała okazja do porozmawiania o zwyczajnych życiowych sprawach przy kawie i ciastkach. W spotkaniach może uczestniczyć każda zainteresowana kobieta, dlatego przychodzą również studentki arabistyki czy żony muzułmanów.

M. I.: W ostatnim czasie obecność muzułmanów budziła zainteresowanie polskich mediów. Czy możliwe jest znalezienie i wypracowanie bezkolizyjnego modelu obecności i dialogu?

A. B.: Społeczność muzułmańska w Polsce jest otwarta dialog. Nie dąży do narzucania komukolwiek swoich poglądów czy zwyczajów. Stanowi mniejszość, która nie tworzy zamkniętych enklaw, lecz dąży do asymilacji. Polskie muzułmanki chcą dawać pozytywne świadectwo postawy nowoczesnej muzułmańskiej europejskiej kobiety, jednocześnie mówiąc o swoich prawach.

Pożytki z chodzenia tyłem

Hanna Gill-Piątek

Skończyliśmy pod Synagogą. To znaczy kiedyś to była synagoga, obecnie jest tam pływalnia. Wszyscy byliśmy trochę zmęczeni i bardzo szczęśliwi. Pewien siwy pan zaproponował żartem, żebyśmy poszli jeszcze dalej, do zboru ewangelickiego. Pani pod osiemdziesiątkę, którą przez całą trasę prowadziła córka, dziękowała nam uśmiechnięta. Moje przyjaciółki, Beata i Kasia, które przyjechały tu specjalnie na nasz marsz, lekko chwiały się, próbując namówić błędnik do normalnej współpracy. Dziecko, ciągnięte tyłem w wózku, nagle odwróciło kurs na ten bardziej codzienny i z niezmienionym wyrazem osłupienia na twarzy pojechało dalej w kręte uliczki starego Poznania.

Kilka minut wcześniej kierowcy na ulicy Estkowskiego zwalniali urzeczeni niecodziennym widokiem. Grupa osób w bardzo różnym wieku szła tyłem po chodniku pod nieczynnym kominem, który od dwóch lat Joanna Rajkowska próbuje zamienić w symboliczny Minaret. Jej pomysł wyciągnął na światło dzienne wszystko, co my, Polacy, mamy w sobie najgorszego. Ksenofobię, rasizm, lęk przed obcym. Nawet architekci i poznańscy urzędnicy, ludzie wydawać by się mogło inteligentni, powtarzali wersy jak żywo wyjęte z antysemickich publikacji z lat trzydziestych, skierowane tym razem nie przeciw Żydom, a przeciw islamowi. Teraz, we wtorkowe letnie popołudnie ci, którzy myśleli odwrotnie, odwrotnie przemaszerowali pod nieistniejącym kominem-minaretem. Następnego dnia przeczytałam w gazecie fajną wypowiedź jednej z uczestniczek: „Tyłem? W Polsce to tylko tak można chodzić!". Marsz nie był manifestacją entuzjastów pomysłu Joanny. Raczej wspólnym gestem otwarcia się na dialog, na myślenie o tym, co łączy.

Gdy idzie się tyłem, uważa się na każdy krok. Trzeba wtedy otworzyć się na pomoc ze strony innych osób, zaufać. Uwaga i świadomość są wyostrzone, w naszym umyśle powstaje zupełnie nowy wymiar, choć ani na chwilę nie opuszczamy rzeczywistości. W tym nowym wymiarze, poprzez przeżycie, zbudowaliśmy na chwilę połączenie. Połączenie nie tylko pomiędzy trzema wielkimi tradycjami. Także pomiędzy tym, co w nas dominujące, a tym, co wypierane i zniszczone. Gdy idzie się tyłem, nie wraca się myślą do triumfalnych marszy, do wojen krzyżowych. Raczej dba się o to, żeby nie wywinąć orła (białego) na najbliższym kwietniku. Zaskoczyła mnie spontaniczna radość wśród idących. I to, że bardzo szybko nauczyliśmy się, jak sobie radzić w tej niecodziennej sytuacji.

Marsz Tyłem rozpoczęliśmy kilka minut po osiemnastej z placu pod poznańską Katedrą. Obok kręcił się ksiądz, zdziwiony tłumem, jaki zebrał się na placu. Miałam ochotę go zaprosić, ale już trzeba było ruszać. Zatem po prostu stanęliśmy naprzeciw tysiącletnich wrót i zaczęliśmy się cofać. Także w czasie – bo przecież przed wojną czynna tu była synagoga, w stronę której kierowaliśmy pierwsze, nieporadne jeszcze kroki. Razem z nami szło trzech Palestyńczyków i jak się później okazało, wielu reprezentantów różnych wyznań (lub ich potomków) w tym także ateistów i – katolików... Przede wszystkim po prostu ludzi, którzy chcieli iść z nami tyłem. A myślałyśmy, ja i Rajkowska, że pomaszerujemy może w 5 osób. Przyszło około 70.

> Następnego dnia przeczytałam w gazecie fajną wypowiedź jednej z uczestniczek: „Tyłem? W Polsce to tylko tak można chodzić!"

Na dobrą sprawę zaczęło się od sporu. Joanna po antyislamskich demonstracjach w Warszawie napisała na Krytyce Politycznej, że buddyści Diamentowej Drogi mają wiele wspólnego z Wszechpolakami. Fakt, facet inspirujący sprzeciwy wobec budowy centrum islamskiego na Ochocie należał do tych pierwszych. A mentalnie chyba i do drugich. Zostawiłam Rajkowskiej komentarz: „nie wkładaj mnie w nie moje gacie", bo sama jestem buddystką, a nie mam nic przeciwko normalnym muzułmanom. Mam za to wiele przeciwko niektórym nienormalnym buddystom. I dodałam, że już dawno chciałam zrobić taki marsz tyłem od jak najbardziej realnej katedry pod nieistniejącym jeszcze minaretem-kominem do zniszczonej synagogi-pływalni w Poznaniu, ale teraz to chyba na śmierć się obrażę. A ona odpisała, że to świetny pomysł (marsz, nie obrażanie) i żeby koniecznie go zrealizować. To dzięki niej, dzięki dziewczynom z teamu minaretowego, Dorocie, Wiktorii, Dominice, dzięki pomocy Malta Festival, udało się. I poszliśmy.

Marsz Tyłem odbył się 29 czerwca 2010r. w Poznaniu, w ramach Malta Festival dzięki zaangażowaniu Joanny Rajkowskiej, Doroty Grobelny, Wiktorii Szczupackiej i Dominiki Pierunek.

Hanna Gill-Piątek – jest graficzką, społeczniczką, członkinią Zielonych 2004.

Autorzy zdjęć:
Hanna Gill-Piątek i Kamil Protosawicki

Co z religią w szkołach?

Maciej Gdula

ilustracja: Grzegorz Laszuk

Wpływ decyzji o wprowadzeniu religii do szkół publicznych na kształt życia publicznego w Polsce w pełni można ocenić dopiero dzisiaj, czyli po dwudziestu latach.

Obecność religii w szkołach przyczyniła się do wprowadzania coraz bardziej restrykcyjnego prawa zgodnego z nauczaniem kościoła. Odcisnęła piętno na polityce państwa w odniesieniu do zdrowia i rodziny. Wpłynęła na język, jakim mówi się o aborcji, in vitro czy seksualności. Rzecz nie w tym, że religia indoktrynuje uczniów i formatuje ich myśli według katolickich schematów. Chodzi o to, że obecność religii w szkołach publicznych jako de facto jedynego przedmiotu odnoszącego się do kwestii etycznych, duchowych i seksualnych przypieczętowała monopol kościoła katolickiego na zabieranie głosu w tych sprawach w sferze publicznej, ograniczając znaczenie demokratycznej debaty.

W obecnych warunkach trudno liczyć na wyprowadzenie katechezy ze szkół. Na szczęście nie stoimy przed wyborem „wszystko albo nic". Negatywny wpływ religii na wychowanie i debatę publiczną można ograniczać, wprowadzając do szkół przedmioty, które sprawią, że kwestie etyki, duchowości i cielesności będą rozważane z wielu perspektyw, co wzbogaci zarówno wychowanie, jak i demokrację. Jedno trzeba powiedzieć na wstępie: jeśli mają one odegrać swoją rolę, muszą być obowiązkowe dla wszystkich, bo inaczej skończą jak zajęcia z etyki, obecne w szkołach przede wszystkim na papierze.

W programie szkolnym od najmłodszych lat można wprowadzić zajęcia z filozofii. Uczniowie w demokratycznej szkole, która nie kształci tylko siły roboczej, ale przede wszystkim obywatelki i obywateli, powinni oprócz wiedzy nabywać też umiejętności krytycznego myślenia. Dobre zajęcia z historii filozofii, uwzględniające wielość szkół filozoficznych, fundamentalne spory filozoficzne i różnorodność tradycji, to świetna lekcja sceptycyzmu i podejrzliwości wobec rzeczy uznawanych za oczywiste. Co ważne, filozofia może uczyć nawyku uzasadniania swojego stanowiska i poszukiwania argumentów zamiast ogłaszania poglądów i deklarowania swoich racji. Gdy się z kimś się nie zgadzamy, musimy wiedzieć dlaczego. Ale nawet jeśli się z kimś zgadzamy, powinniśmy zdawać sobie sprawę z przesłanek, jakie wspólnie akceptujemy. Zajęcia z filozofii podnosiłyby jakość demokracji, ucząc podstaw obywatelskiej partycypacji, której sednem jest dyskusja, a nie samo wrzucanie głosów do urny.

Innym przedmiotem, który powinien znaleźć się w programie nauczania, jest zdrowie. Na zajęciach o zdrowiu uczniowie zapoznawaliby się z szeroką wiedzą dotyczącą ciała, chorób i ich leczenia. Dowiadywaliby się o problemach międzyludzkich, jakie pojawiają się w związku z tymi kwestiami. Na zdrowiu można byłoby porozmawiać o ciele z nieco mniej abstrakcyjnej perspektywy niż na lekcjach biologii. O jego rozwoju, potrzebach (także seksualnych), dbaniu o nie i o starzeniu się. Uczniowie uczyliby się praktycznego stosowania współczesnej wiedzy medycznej w zakresie zapobiegania chorobom i podnoszenia jakości życia. Na lekcjach zdrowia mogliby się nauczyć, jak rozmawiać z lekarzem, by dostarczać mu adekwatnych informacji i dowiedzieć się, jakie prawa mają jako pacjenci i pacjentki. Na takich zajęciach byłoby miejsce, aby porozmawiać o AIDS, chorobach psychicznych i niepełnosprawności. Zdrowie pozwoliłoby mówić wreszcie bez uprzedzeń o ciele i o tym, jak łączy nas ono z innymi ludźmi.

Zajęcia z religii nie dają rzetelnej wiedzy nawet o wyznaniu rzymskokatolickim, a przez swój monopol stępiają wrażliwość na wiedzę o innych religiach. Dlatego polskiej szkole potrzebne jest religioznawstwo. Pokazanie, że istnieje więcej niż jedna religia, którą należy traktować poważnie, jest powinnością demokratycznej szkoły. Uczniowie powinni znać tradycję wszystkich wielkich religii światowych i umieć swobodnie się między nimi poruszać. Zdobycie wiedzy na temat innych religii staje się w coraz większym stopniu koniecznością, bo Polacy stykają się z nimi emigrując z Polski, albo będą się stykać konfrontując się z ludźmi, którzy prawie na pewno przyjadą wkrótce do Polski na stałe ze wschodu i południa.

Wprowadzenie filozofii, zdrowia lub religioznawstwa do szkół nie jest projektem konfrontacji z religią. Chodzi o to, żeby naprawić to, co religia napsuła, ustanawiając monopol na zabieranie głosu w sprawach moralności i ducha. Umieszczenie w programach szkolnych wielości głosów jest najprostszą metodą na ograniczenie efektu monologu, który psuje polską szkołę i polską demokrację. Pozostaje pytanie, który z tych przedmiotów najlepiej wybrać. Ja najchętniej wprowadziłbym wszystkie trzy. Dzięki temu na efekty nie trzeba byłoby czekać następne dwadzieścia lat.

Maciej Gdula – socjolog, publicysta. Członek Krytyki Politycznej. Autor książki *Trzy dyskursy miłosne* (2009).

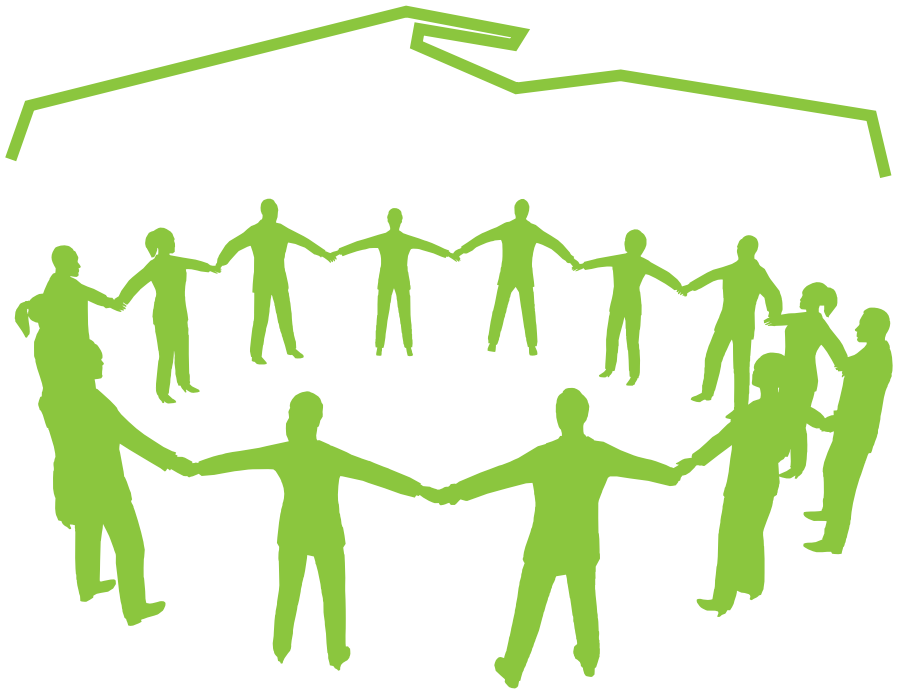

Ilustracja: Hanna Gill-Piątek

Ci, którym Polska jest nowym domem

Ewa Hołuszko

Widok imigrantów na ulicach miast, często osób o odmiennym kolorze skóry, egzotycznych do niedawna w ramach polskich norm kulturowych czy religijnych, nikogo już nie dziwi. Nie zdajemy sobie jednak sprawy z oczywistego dysonansu pomiędzy wykształceniem i potencjalnymi możliwościami wielu z tych ludzi a tym, w jakich warunkach w Polsce żyją i jaką pracę wykonują.

Często są to ludzie o wysokim poziomie wykształcenia, w pełni umiejący zachować się według norm zachodniej kultury, mający tylko to nieszczęście, że przyjechali z kraju, w którym z powodu biedy lub warunków polityczno-społecznych nie widzieli perspektyw rozwoju. Najbardziej doświadczona z tych grup – uchodźcy – pochodzą z miejsc, w których oni sami lub ich bliscy z powodu konfliktu zbrojnego lub katastrofy żywiołowej stracili domy, a niektórzy członkowie rodzin – życie lub też byli represjonowani z powodów politycznych. Dlaczego tych ludzi jest tak dużo na bazarach, dlaczego w każdym polskim mieście powstają prowadzone przez nich orientalne knajpki, dlaczego mijając budowy w całej Polsce często słyszymy język wschodnioslowiański, dlaczego tylu wykształconych muzyków-imigrantów zarabia grą na ulicach, dlaczego w ośrodkach dla uchodźców tak często dochodzi do sytuacji konfliktowych? – to tylko niektóre z pytań, na którymi warto się zastanowić. Zafrapowani codziennymi trudnościami nie zdajemy często sprawy, że Polska, zwłaszcza po wejściu w skład Unii Europejskiej, w stosunku do targanego różnorakimi konfliktami i cierpiącego na biedę świata jest krajem kojarzącym się z pokojem wewnętrznym i bogactwem. Dla wielu przybyszów Polska stała się domem - z czasem poznali tutejsze warunki życia, język i kulturę. Dla niektórych z nich, np. uchodźców, Polska leżała za pierwszą z granic, za którą się czuli bezpieczni.

Lecz Polskę wybierają także inni imigranci. Dla przybywających z powodów ekonomicznych zza wschodniej granicy jest ona bliższa z powodu pokrewieństwa języka, czasem – z racji mieszkających tu krewnych czy niewielkiej odległości od miejsc, które opuścili. Większa część z tej grupy osób, traktuje nasz kraj jako miejsce zarobku, a oszczędności przeznacza na potrzeby swych rodzin, spłatę zaciągniętych kredytów oraz na inwestycje, które zamierza zrealizować po powrocie.

Straż Graniczna szacuje, że od chwili wejścia Polski do układu Schengen (21 grudnia 2007 r.) do Polaki wjechało, lecz z niej nie wyjechało 280 tys. osób (w większości posiadających obywatelstwo ukraińskie). Według ocen organizacji pozarządowych, nielegalnych imigrantów przebywających na terenie naszego kraju może być aż 450-500 tys. Najczęściej pracują oni „na czarno" – przyczyniają się więc do rozwoju ekonomicznego naszego kraju, lecz równocześnie nie płacąc podatków zubożają jego budżet. Tylko część z pracujących przebywa legalnie, tzn. posiada ważną jeszcze wizę lub inny dokument uprawniający do pobytu (np. kartę stałego pobytu). Ci, w razie doznania przemocy czy rażącego wyzysku mogą się zwrócić z pomocą do określonych władz. Co jednak mają zrobić ci, którzy przebywają na terenie Polski nielegalnie, najczęściej z nieważnymi już wizami, lecz także z wystawionymi niekoniecznie na nich dokumentami? To oni najczęściej są ofiarami wyzysku nieuczciwych pracodawców czy grup przestępczych. Można powiedzieć, nic nowego – wszak często taki sam los spotykał jeszcze kilkanaście lat temu nielegalnie pracujących za granicą Polaków.

Prawa imigrantów przebywających w Polsce określone są Ustawą o cudzoziemcach z 2003 r., znowelizowaną ostatnio poprzez zmiany z 9 kwietnia 2010 r. Istotna jest również pochodząca także z 2003 r. Ustawa o udzielaniu cudzoziemcom ochrony na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej oraz – w części dotyczącej cudzoziemców – Ustawa o zmianie imienia nazwiska z 2008 r.

Pomimo zdarzających się wciąż wybryków chuligańskich wobec osób o innym odcieniu skóry czy języka, nie można stwierdzić, by imigranci w Polsce byli szykanowani przez społeczeństwo w natężeniu wyższym niż w innych krajach Unii. Niemniej każdy taki przypadek powinien być z uwagą rozpatrywany, gdyż jest to przejaw najniższych instynktów, mających podłoże rasistowskie i ksenofobiczne. Również nie można stwierdzić, by imigranci w jakiś szczególny sposób angażowali się i współpracowali z grupami przestępczymi. Okres rozkwitu takich grup, najczęściej mieszanych narodowościowo z Polakami, minął wraz dekadą lat 90.

Na murach naszych miast często widać wypisane hasło: „Każdy człowiek jest legalny". Jest to wyraz naszych dążeń do pewnego ideału praw człowieka i stosunków międzyludzkich. Pomimo że jesteśmy krajem demokratycznym, gwarantującym podstawowe prawa człowieka, nasze standardy prawne, zresztą podobne do unijnych, są dalekie w tym względzie od ideału. Kraje Unii, jak wszystkie kraje bogate, bronią się przed napływem większej ilości imigrantów, chroniąc miejsca pracy dla własnych obywateli. Jeżeli już otwierają dla imigrantów drzwi, to ze skierowaniem do zawodów deficytowych, zwykle najcięższych, najmniej płatnych i wymagających najniższych kwalifikacji (np. pomoc domowa, prace sezonowe). Większe szczęście mają imigranci posiadający kwalifikacje potrzebne do pracy w zastępstwie obywateli polskich, którzy wyjechali do pracy w krajach o wyższych zarobkach (lekarze, pielęgniarki, kierowcy). Tylko niektórzy z imigrantów otrzymali polskie obywatelstwo, ale nawet ci, co je otrzymali, jak np. Wietnamczycy czy przybysze z Turcji i krajów arabskich, nie będąc mniejszościami narodowymi w świetle prawa, nie mają możliwości nauki we własnym języku.

> Zafrapowani codziennymi trudnościami nie zdajemy sobie sprawy, że Polska, w stosunku do targanego różnorakimi konfliktami i cierpiącego na biedę świata jest krajem kojarzącym się z pokojem i wewnętrznym bogactwem

Należy tu wspomnieć o jeszcze innej „normie" - gwarantowany ustawowo status uchodźcy przyznawany jest coraz rzadziej i w rezultacie zastępuje go tzw. „pobyt tolerowany". Następstwem jest skupienie osób ubiegających się o status uchodźcy w kontrolowanych ośrodkach dla uchodźców (Czeczeni, Gruzini, Ormianie), co rodzi niezadowolenie przebywających w nich często latami pensjonariuszy. Innym „kwiatkiem" jest nieprzyznawanie nawet tak ograniczonych praw uchodźcom politycznym z krajów komunistycznych – Wietnamu czy Kuby – pomimo że powrót ich do kraju rodzinnego może zakończyć się co najmniej uwięzieniem.

Na końcu należy wspomnieć o jeszcze jednej grupie imigrantów – tych, dla których Polska jest ojczyzną, czyli repatriantów głównie z Kazachstanu, lecz także powracających po czasowej emigracji w rodzinne strony Mazurów czy Ślązaków. Ci pierwsi są przyjmowani przez społeczność polską serdecznie; Mazurzy i Ślązacy – z nieufnością, choć jako obywatele jednego z krajów Unii Europejskiej posiadają pełne wsparcie ze strony prawa. Problemów dotykających przeciętnego imigranta nie zaznaje tylko jedna, niewielka w stosunku do całości, lecz wpływowa grupa cudzoziemców – wysoko wykwalifikowana kadra: dyrektorzy, menagerowie, inżynierowie i różnego typu specjaliści, ściągani do firm mających siedzibę w Polsce.

Ewa Hołuszko – współautorka raportu o mniejszościach w Polsce dla Fundacji Helsińskiej

R E K L A M A

by chronić życie
superapteka.pl
apteka internetowa
ZIELNIA.PL

Mieszkają wśród nas

Ewa Hołuszko

Gdy wspominam swoją małą ojczyznę w okresie dzieciństwa, pamiętam morze ruin zaraz za domami jego głównej ulicy. To były pozostałości po getcie. Później, gdy do moich rodzinnych stron często wracałam, widziałam jak postępuje niszczenie tego, co po tych jeszcze niedawnych mieszkańcach Białegostoku i okolicznych miasteczek zostało. Dewastacja i na końcu unicestwienie starych cmentarzy – na żydowskim założono park, na prawosławnym postawiono amfiteatr, a na ewangelickim zbudowano bloki. Macewy wyrwane z ziemi stanowiły łup chuliganów i kamieniarzy. Podobnie nagrobki z cmentarzy ewangelickich, a ocalałe z hitlerowskiego terroru mury synagog i pozbawione wiernych kościoły ewangelickie niszczały, lub, te ostatnie, były przejmowane przez rzymskokatolików. Nawet Ci którzy z mniejszości zostali, tzw. Tutejsi, czyli w większości ludność pochodzenia białoruskiego, bali się, czy nie wrócą czasy wojennych i powojennych koszmarów: zastraszeń, morderstw, czy wysiedleń. A przecież Podlasie to miejsce w Polsce, gdzie do dzisiaj mamy najbardziej zróżnicowane narodowościowo tereny. Przecież tam będąc członkiem mniejszości było najłatwiej przeżyć. Przeciętny obywatel polski do niedawna wiedział o holokauście Żydów, ale o takim samym losie Cyganów już niekoniecznie. Wiedział oczywiście, że Niemcy mordowali Polaków, lecz prawdę o obozach koncentracyjnych dla Niemców w powojennej Polsce z osławionymi Łambinowicami na czele znali tylko nieliczni. Podobną złą sławę miał obóz w Jaworznie wśród żyjących w Polsce Ukraińców i Łemków. Do lat 80. Ukraińcy żyli z piętnem morderców Polaków „za karę" wysiedlonych na Ziemie Zachodnie, lecz nikt nie wspominał i o odwrotnych narodowościowo eksterminacjach całych wsi. Samo wysiedlenie odbywało według cenzusu narodowościowego i religijnego ale nie tylko z tych terenów, gdzie działała UPA. Przykład pokojowo nastawionych do Polaków Łemków z zachodniej części Łemkowszczyzny, których ostatnie wioski wysiedlano już w na początku lat 50-tych świadczy o etnicznych korzeniach represji. Jeszcze w latach 70-tych władze rugowały żyjących od wieków w północnej Polsce Mazurów. A przecież żyją wśród nas ludzie, którzy jeszcze pamiętają zamieszkałe w sposób zwarty przez Łemków i Ukraińców góry na wschód od Szczawnicy, wioski z ludnością zarówno polską, jak i ukraińską na wschód od Lublina i na południe od Zamościa, miasteczka zamieszkałe w dużej części przez Żydów i Niemców na Białostocczyźnie, ludność żydowską w miastach całej Polski, czy całe wsie zamieszkałe przez ludność mazurską.

Świadomość, że mniejszości narodowe, które obecnie zamieszkują obecne terytorium Polski, to reprezentanci znacznie większych populacji, którzy zamieszkiwali całe jej tereny tak jeszcze niedawno, jest nam wręcz niezbędna do ich zrozumienia. Nigdzie chyba w Europie, nie nastąpiła tak drastyczna zmiana stosunków etnicznych w XX w. na skutek rozmaitych represji czasów zarówno wojny, jak i pokoju, eksterminacji (Żydzi, Cyganie), wysiedleń (Niemcy, Ukraińcy, Łemkowie), przymusowych przesiedleń (Ukraińcy, Łemkowie), czy powojennego przyjęcia tych, którzy byli związani od wieków z Rzeczpospolitą. Tak jak Polacy, na zachód ze swych rodzinnych siedzib, wyruszyli wraz ze zmianą jej granic Ormianie, a także część Karaimów, Tatarów „litewskich" oraz Białorusinów. Dopiero w latach 80. XX w., po lansowanej jeszcze w poprzedniej dekadzie teorii Polski jednonarodowej, istnienie mniejszości narodowych i ich oficjalnych zrzeszeń zostało w pełni uznane przez ówczesne władze.

Przełom nastąpił dopiero po zmianie ustrojowej w 1989 r. Przede wszystkim mogła zaistnieć prawnie najliczniejsza z nich obecnie - mniejszość niemiecka. Do 1989 r. władze zaprzeczały jej istnieniu, co wiązało się także z brakiem jej oficjalnego zrzeszenia i szkolnictwa. Zaistniała również wówczas możliwość przywrócenia narodowych organizacji łemkowskich (Stowarzyszenie Łemków). Przez cały okres powojenny władze traktowały Łemków jedynie jako grupę etniczną narodu ukraińskiego. Temat ten do dzisiaj dzieli samą społeczność Łemków. Powstało również szereg organizacji romskich na czele ze Stowarzyszeniem Romów w Polsce. Również Żydzi utworzyli pierwsze placówki oświatowe, po okresie zniszczeń wojennych i powojennych emigracji. Wśród pozostałych mniejszości także powstało szereg, tym razem niezależnych od władz organizacji oraz nastąpił rozwój szkolnictwa.

Obecnie od około 900 tys. do miliona obywateli Polski należy do mniejszości narodowej lub etnicznej. Co oznacza określenie „mniejszość narodowa", „mniejszość etniczna" oraz różnice pomiędzy nimi określa „Ustawa o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym" ze stycznia 2005 r. Mniejszością narodową nazywamy „grupę obywateli polskich, którzy spełnia łącznie następujące warunki:

- jest mniej liczebna od pozostałej części ludności Rzeczypospolitej Polskiej;
- w sposób istotny odróżnia się od pozostałych obywateli językiem, kulturą lub tradycją;
- dąży do zachowania swojego języka, kultury lub tradycji;
- ma świadomość własnej historycznej wspólnoty narodowej i jest ukierunkowana na jej wyrażanie i ochronę;
- jej przodkowie zamieszkiwali obecne terytorium Rzeczypospolitej Polskiej od co najmniej 100 lat;
- utożsamia się z narodem zorganizowanym we własnym państwie."

Mniejszość etniczną charakteryzują te same warunki łączne z wyjątkiem pkt. 6. W przypadku mniejszości etnicznej, brak jest państwa, z którym może się ona utożsamiać. W ustawie podana jest również konkretna lista mniejszości, do których ona jest skierowana; są to następujące:

- mniejszości narodowe (9): białoruska, czeska, litewska, niemiecka, ormiańska, rosyjska, słowacka, ukraińska i żydowska;
- mniejszości etniczne (4): karaimska, łemkowska, romska i tatarska.

Pod względem prawnym gwarancje dla mniejszości narodowych zawarte są dodatkowo w umowach bilateralnych Polski z jej narodowymi państwami, zaś mniejszość etniczna takich dodatkowych gwarancji nie posiada (tylko prawo polskie i „ogólne" międzynarodowe). Wyróżnić można mniejszości stosunkowo liczne (Niemcy, Białorusini, Ukraińcy, których liczebność każdej jest w zakresie od 200 do 350 tys. osób) i te małe, zaledwie kilku tysięczne (Ormianie, Tatarzy, Czesi), a liczba osób przynależnych do najmniejszej – Karaimów, nawet w szacunkach wynosi najwyżej 150-200.

Jeszcze inna grupy mniejszościowe należą do kategorii mniejszości posługujących się językami regionalnymi, którym poświęcone są art. 19 i 20 w/w Ustawy. Bazują one na innym, ratyfikowanym przez Polskę dokumencie dotyczącym mniejszości narodowych - Europejską Kartą Języków Regionalnych i Mniejszościowych. Za język regionalny, „uważa się język. który:

- jest tradycyjnie używany na terytorium danego państwa przez jego obywateli, którzy stanowią grupę liczebnie mniejszą od reszty ludności tego państwa;
- różni się od oficjalnego języka tego państwa, nie obejmuje to ani dialektów oficjalnego języka państwa, ani jego migrantów."

Nie jest więc językiem regionalnym np. ani dialekt górali podhalańskich, ani dialekt lwowski czy wileński współczesnych migrantów mieszkających we Wrocławiu, czy Szczecinie. W/w Ustawa wymienia jeden taki język – kaszubski. Kaszubi to jedyni, współcześnie kultywujący swoją odrębną kulturę i język, potomkowie dawnych Pomorzan. Ich tradycyjny język bardzo różni się od polskiego. Również działacze z Górnego Śląska starają się wpisać następny język - śląski na listę języków regionalnych.

W 2002 r. przeprowadzono w Polsce spis powszechny, w którym po raz pierwszy od okresu międzywojennego zaznaczana była mniejszość narodowa respondenta. Jego „mniejszościowe" wyniki, chociaż tak chętnie cytowane zwłaszcza przez organizacje prawicowe, raczej świadczą o powszechnej ambiwalencji i istniejących ciągle obawach do ewentualnego przyznawania się do własnej narodowości, niż o rzeczywistej wielkości poszczególnych populacji. Różnica pomiędzy 471 475 osobami, którzy zadeklarowali w spisie swoją niepolską narodowość, a 774 885 osobami, które deklaracji narodowościowej nie dokonały, świadczy sama za siebie. Wielu przedstawicieli polskich mniejszości czuje się zarówno jej przedstawicielem jak i Polakiem. „Ruskimi" lub „tutejszymi", a nie Białorusinami i Ukraińcami określa wciąż duża część z ludności prawosławnej Białostocczyzny. Jak ma się określić szereg Ukraińców, czy Łemków, z których starsze pokolenie pamięta jeszcze, że to urzędowe wiadomości o ich wyznaniu lub narodowości były podstawą do wywózki najpierw na Wschód, a później w „akcji Wisła"? Co mają odpowiedzieć Ślązacy, czy Mazurzy będący typową ludnością mającą pierwiastki zarówno narodowości polskiej, jak i niemieckiej? Jaką deklarację mają złożyć polscy Ormianie czy Tatarzy, którzy zarzucili już swoje narodowe języki, a których przywiązania do polskiej ojczyzny są niemal symboliczne? Jakiej odpowiedzi na spisie można się spodziewać od polskich Żydów, skoro wielu z nich, po tragedii holokaustu było wychowywanych w polskich rodzinach, a do tego ciągle jeszcze można się spotkać z przejawami antysemityzmu? Jednak to deklaracje spisowe, zgodnie z art. 14 w/w ustawy stanowią podstawę do oszacowania liczby mieszkańców danej gminy przynależących do danej mniejszości, co może, w przypadku, gdy populacja mniejszości jest większa niż 20%, skutkować po odpowiednim wniosku rady gminy do właściwego do spraw mniejszości ministra, wpisaniem jej do „Urzędowego Rejestru Gmin, w których jest używany język pomocniczy". Gmin takich jest obecnie w Polsce 30 (22 z jęz. pmocniczym niemieckim, 1 z litewskim, 2 z kaszubskim i 5 z białoruskim), chociaż można wyróżnić ich 51 według danych spisu z 2002r. W praktyce, gdy radnych nie należących do mniejszości jest więcej niż 50% składu rady gminy, uchwalenie takiego wniosku napotyka na duże trudności. Dopiero po wpisaniu danej gminy do Urzędowego Rejestru można wprowadzić język mniejszości jako pomocniczy w urzędach danej gminy i starać się o takie zmiany jak dwujęzyczne nazwy miejscowości, tablic urzędów, czy ulic.

Coraz większa część społeczeństwa polskiego widzi jak ci „inni" nie tylko ubogacają historię, lecz także kulturę, a samo współistnienie różnych tradycji i kultur wnosi do cywilizacji ludzkiej pierwiastek tolerancji

Niektóre z mniejszości miały rozbudowaną, choć ściśle nadzorowaną nie tylko przez władze zajmujące się oświatą i kulturą, lecz przede wszystkim przez organy bezpieczeństwa sieć placówek oświatowych jeszcze przed 1989 r. Byli to Białorusini, Ukraińcy, Litwini, Słowacy. Wychodziły, ściśle nadzorowane przez organy cenzury (po jednym tytule na mniejszość) periodyki białoruskie, ukraińskie, litewskie, żydowskie. Zmiany w oświacie dla uczniów należących do mniejszości narodowych weszły zgodnie Rozporządzeniem Ministra Edukacji Narodowej z 1992r. zmienionym przez nowe, wydane w 2002r. Umożliwiły one rozwój placówek o różnym stopniu organizacji i zaangażowania języka mniejszości w proces nauczania. W roku szkolnym 2005/2006 w szkołach podstawowych 33513 uczniów uczyło się języka ojczystego (białoruskiego, kaszubskiego, litewskiego, łemkowskiego, niemieckiego, słowackiego, ukraińskiego, romskiego, greckiego, hebrajskiego, ormiańskiego) należących do mniejszości narodowych i 14008 uczniów w gimnazjach. Zajęcia z języka ojczystego prowadzone były w 702 szkołach podstawowych, 272 gimnazjach i 16 szkołach ponadgimnazjalnych. Niektóre z mniejszości: Łemkowie, Romowie, Grecy, Żydzi, Ormianie otrzymały możliwość uczenia swego ojczystego języka dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, a więc wówczas, gdy Polska starała się o wejście do Unii Europejskiej lub już została jej członkiem.

Oprócz mniejszości wymienionych w ustawie ze stycznia 2005r., spotykamy w Polsce mniejszości napływowe, które nie spełniają tego warunku. Od końca lat 40. XX w. ponownie zamieszkują w Polsce Grecy i Macedończycy. Ponownie, gdyż na terenie naszego kraju Grecy mieszkali nieprzerwanie od począwszy XVI w. do końca XIX w. Od lat 90. osiedliło się w Polsce przynajmniej kilka tysięcy Wietnamczyków, a ostatnio coraz więcej napływa Turków i obywateli krajów arabskich. Tylko część z nich posiada obywatelstwo polskie. Również przybysze z niesłowiańskich narodowości z obszarów Wspólnoty Niepodległych Państw oraz Chińczycy mają swoje liczne skupiska. Tworzą się nowe mniejszości, których prawa nie są wprawdzie regulowane wspomnianą ustawą, lecz część z nich jako obywatele Polski narodowości niepolskiej posiadają prawa do kultywowania swojej kultury, tradycji, języka czy religii w oparciu o zapisy konstytucji, czy akty prawa międzynarodowego ratyfikowane przez RP.

W powojennej rzeczywistości mniejszości narodowe przeszły długą drogę, od wzajemnych mordów, wysiedleń i przesiedleń i trwających latami represji oraz izolacji, do zdobytych w ostatnim dwudziestoleciu praw. Lecz prawa urzędowe nie oznaczają jeszcze zaniknięcia uprzedzeń. Pomysły takie promujące potępianą przez cywilizowany świat odpowiedzialność zbiorową w postaci karania własnych obywateli, za zdarzenia w innych państwach, z którymi nie mają oni nic wspólnego są ciągle obecne. Jak często mamy do czynienia z antysemickimi wypowiedziami niektórych osób, szczycących się poparciem części społeczeństwa? Jednak coraz powszechniejszy jest trend reprezentowany przez nowe regulacje prawne służące pomocą mniejszościom w zachowaniu kultury, języka, tożsamości. Coraz większa część społeczeństwa polskiego widzi jak ci „inni" nie tylko ubogacają historię, lecz także obecną kulturę, a samo współistnienie różnych tradycji i kultur wnosi do cywilizacji ludzkiej pierwiastek najbardziej ludzki – wzajemne wzbogacanie duchowe, tolerancję i poszanowanie tych „nieco innych". Pomimo oporu środowisk konserwatywnych, mniejszości narodowe w Polsce, w ciągu dwudziestu ostatnich lat otrzymały podstawy chroniącego je systemu prawnego. Niech ten fakt będzie dobrym znakiem i drogowskazem dla innych – tych, którzy są jeszcze na początku tej drogi.

R E K L A M A

www.piotrdzialak.bloog.pl

Blog Piotra Działaka

Skoro potrafisz latać,
to czemu ciągle gapisz się w niebo?

Marzyciel. Podróżnik. Twórca. Zielony. Aktywista. Nonkonformista.

Ten, który przytrzymuje kogoś w błocie, żeby go poniżyć, sam musi w tym błocie stanąć.

– Przysłowie ludu Igbo

Od młodości każdy z nas jest programowany. Oczywista jest konstatacja, że budulec społeczny i kulturowy naszego jestestwa utrwalany jest przez rodziców i przez bliższe lub dalsze otoczenie naszego życia. Wyobraźmy sobie, że od młodości całe otoczenie zewnętrzne wmawia nam, że nie nadajemy się do niczego, jesteśmy głupi, a nasz potencjał pozwala nam co najwyżej na proste prace fizyczne. Nietrudno wyobrazić sobie, jakim bylibyśmy społeczeństwem, gdybyśmy byli modelowani według takich komunikatów – pełni kompleksów, bez wiary we własne możliwości.

Tak jak Janusz Józefowicz pochodzę z prowincji. O tym wchodzącym wówczas na warszawską scenę choreografie, chłopaku z Lublina przeczytałem w czasopiśmie „Bestseller" w pociągu relacji Szczecin–Świnoujście pewnego dnia w 1991 roku. Kursowałem tą trasą na bazar w Świnoujściu. Nie chciałem handlować w Szczecinie, gdzie kilka miesięcy wcześniej skończyłem studia i gdzie znało mnie wiele osób. Spaliłbym się ze wstydu, jeśliby ktoś zobaczył świeżo upieczonego magistra inżyniera sterczącego na ubitej ziemi na placyku handlowym. Nigdy do tej pory nie musiałem zarabiać na życie. Przez siedem lat byłem stypendystą rządu PRL-u. Nie było to stypendium głodowe, a trzy czwarte wynagrodzenia asystenta. Akademik był za darmo, raz w miesiącu zmiana pościeli, a bywało, że i rolka papieru toaletowego. Kto żył w PRL-u, ten wie, jakim luksusem był ten towar. Można go było dostać w Peweksie za twardą walutę.

Przyjechałem do Polski w 1983 roku. Na naukę polskiego miałem rok (wcześniej skończyłem kurs przygotowawczy w Wietnamie). Na właściwe studia techniczne miałem pięć lat. Teoretycznie powinienem był ukończyć studia w 1989 roku. Ale wówczas każdy przedłużał sobie maksymalnie czas pobytu w Polsce. Każdy urlop dziekański musiał być zaakceptowany przez odpowiednią komórkę w Ambasadzie Socjalistycznej Republiki Wietnamu. Tak też było w moim przypadku. Pracę dyplomową obroniłem w październiku 1990 roku. Miesiąc później musiałem wyprowadzić się z akademika, skończyło mi się też stypendium. O powrocie do Wietnamu nikt z nas nie myślał. W Polsce nastał wolny rynek, kartki na produkty żywnościowe zlikwidowano rok wcześniej. Do trudnych transformacji gospodarczych ludność polska musiała się szybko przyzwyczajać, a wraz z nią kilkuset wietnamskich studentów i absolwentów uczelni wyższych. Nasi obrotni rodacy dostali pozwolenia na wynajem powierzchni w państwowych domach towarowych. Mogli odtąd handlować tak zwanymi artykułami regionalnymi. Dostarczali towary, które nie pochodziły z oficjalnej dystrybucji: pamiątki, podomki haftowane, przesyłane w paczkach do Polski. Sprawdziło się hasło: Handel to życie! Handel kwitł wszędzie. Okazało się, że handel obwoźny nie sprawiał trudności ani mnie – inżynierowi mechanikowi, ani moim kolegom hutnikom, metalurgom, górnikom czy matematykom.

Na początku lat dziewięćdziesiątych moim rewirem były okolice Szczecina, zwłaszcza Świnoujście – miejsce

Kolor pokonany

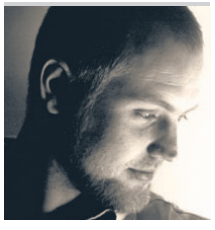

Przemysław Stępień

prezes Fundacji FilmGramm, organizator Festiwalu Filmów Afrykańskich AfryKamera (www.afrykamera.pl) członek Zielonych od 2005 r.

Wyobraźmy sobie cały kontynent powalony na kolana, wyprany z historii, którego mieszkańców sprowadzono do roli pariasów w światowym układzie narodów i ras. Nie sposób nie słyszeć dominujących w polskich mediach frazesów o potrzebie „rekolonizacji" Afryki. W szkole darmo szukać wiedzy o afrykańskiej historii przedkolonialnej. Niewiele też wiemy o osiągnięciach cywilizacji afrykańskiej. Jeśli słyszeliśmy co nieco o starożytnym Egipcie, to jest to maksymalnie „wybielony" obraz przekazywany przez hollywoodzkie kino. Nie ma w nim miejsca na Nubię, Kusz czy zachodnie królestwa afrykańskie, takie jak Ghana, Songhaj czy Benin. To rzutuje na potoczne postrzeganie kontynentu afrykańskiego i jego mieszkańców przez pryzmat wojen, niedorozwoju, biedy oraz powszechnego fatalizmu.

W Afryce duma jest towarem deficytowym. Jej mieszkańcom odebrano prawo do odczuwania jej w odniesieniu do przeszłości, a także do teraźniejszości. Z tego poniżenia dokonanego przez europocentryczne samoumiłowanie kolonizatorów zrodziła się silna potrzeba poszukiwania tożsamości, która zwróciłaby Afryce – a także poszczególnym nowo powstałym według europejskiej linijki narodom – twarz i honor. Przed laty powstawały liczne ruchy afrykańskie, z których chyba najmocniej utkwił w pamięci Afrykanów Kwame Nkrumah i jego panafrykanizm. Skutki tych idei widać było choćby niedawno na Mundialu, gdzie praktycznie cały kontynent złączył się i skupił swoje nadzieje na jedynej pozostającej ekipie z Afryki – na Czarnych Gwiazdach z Ghany.

Cały kontynent desperacko poszukuje własnej tożsamości, a w niej szansy na samorealizację oraz drogę do postępu. W międzyczasie zakompleksiony oraz pozbawiony wiary we własne możliwości lud wpada w defetyzm. Są oczywiście światełka w tunelu, jak Nelson Mandela, Ghana, Botswana czy nowa era twórczości filmowej w nigeryjskim zagłębiu filmowym Nollywood. Jednak wiele osób – i całych narodów – poddaje się uczuciu rezygnacji.

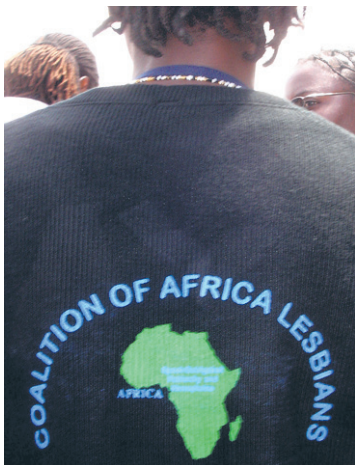

Oczywistym jest, że Europa jawi się jako ucieczka. I tu przybywają czarnoskórzy imigranci w poszukiwaniu nadziei, a często też własnej tożsamości i dumy. W Europie natrafiają na spiętrzenie stereotypów i niewiedzy, a co więcej na arogancję kulturowo-cywilizacyjną: „To nasz naród", „To nasze osiągnięcia", „To nasza cywilizacja". A w niej nie ma miejsca dla czarnego, obcego. Zanieczyszcza to bowiem czystość „naszych osiągnięć". Afrykę nauczono żyć w przekonaniu o własnej niższości i beznadziejności. Europa i każdy jej poszczególny narodowy element składowy żyje w przekonaniu o własnej wyższości oraz o dominującej roli jej kultury. Osiągnięcia poszczególnych jednostek traktowane są jako zasługi narodów i kontynentu: „Zobaczcie jacy jesteśmy wielcy – napisaliśmy Szekspira!".

I oto bezkres absurdu naszego ego, które pozwala nam sobie przypisywać zasługi za osiągnięcia dawno zmarłych poetów i nieznanych nam odkrywców według kryteriów narodowych czy rasowych. Afrykanie muszą mierzyć się nie tylko z tym europocentrycznym zadęciem, ale też z poniżaniem własnej wartości przez przeciętnego Polaka, Europejczyka w oparciu o analogię. Pochodząc z „niższej" rasy (choć oczywiście „nie jestem rasistą") oraz z cywilizacji i kultury, bez historii – poza tą napisaną przez kolonizatorów – Afrykanin korzysta jakoby z naszej „wspaniałomyślnej gościnności" i tym samym powinien być nam wdzięczny.

Pytanie musi paść: Za co ma nam dziękować? Każdemu z nas osobna? Gdzie nasza zasługa w tym, że urodziliśmy się w relatywnym bogactwie, a gdzie wina imigranta, że uciekł do Polski przed biedą? Oceniamy człowieka po pochodzeniu i po kolorze, a jednocześnie żyjemy w dziwnym przeświadczeniu, że z jakiegoś powodu nasza narodowość uprawnia nas do bycia lepiej traktowanym. Do odczuwania, że jesteśmy lepsi, bo jesteśmy Polakami. Na samym końcu tej spirali zastanawiamy się: jak to jest, że nielegalny imigrant ze Stadionu nie zasługuje na taki sam szacunek i prawo do godności i życia, co legalny „100-procentowy" Polak...

Ludzie jadą do Afryki, żeby potwierdzać przekonania, które już im się utrwaliły w głowie i tym samym nie są w stanie zauważyć tego, co stoi przed nimi.

Chinua Achebe, pisarz nigeryjski

Dziesięciolecia stadionu

felieton opozycjonisty

Ngo Van Tuong

stosunkowo egzotyczne, gdzie miałem metr kwadratowy, żeby rozłożyć stoisko. Z plecakiem pełnym bluzek wyjeżdżałem raniutko pociągiem ze Szczecina. Po kilku godzinach stania w mrozie wracałem z pustą torbą i z saszetką pełną gotówki. Żywa gotówka okazała się niezmiernie potrzebna, była zachętą i motywacją. Mieszkałem wówczas na stancji, miałem pokój do spania i do magazynowania. Po towary jechałem do Warszawy. Zaopatrywałem się początkowo w prywatnych mieszkaniach, a później na koronie Stadionu. Na początku lat dziewięćdziesiątych większość byłych studentów zajmowała się handlem detalicznym. Ci obrotniejsi, którzy wcześniej skończyli studia, oraz doktoranci parali się handlem hurtowym. W 1989 powstał Jarmark na Stadionie Dziesięciolecia. Podczas weekendów na koronie odbywał się prawdziwy pchli targ z biletem wstępu.

> Handel na bazarach w Oświęcimiu, Tarnowie czy Nowym Targu to była czysta przyjemność, w gronie samych magistrów, doktorów i inżynierów

Tak wówczas, jak i teraz handel nie był tylko domeną Wietnamczyków. Polacy rezygnowali z ciepłych posad państwowych. Jeździli po towary do Turcji, Tajlandii, Chin czy Indii. Dżinsy wycieruchy, indyjska biżuteria i ozdoby cieszyły się dużym powodzeniem. Naszyjniki, agaty, ametysty i inne kolorowe kamienie półszlachetne leżały na kawałkach nylonu na ziemi na koronie Stadionu. Nikogo nie interesowało, czy nabywcami są Polacy, czy Wietnamczycy. Chwała tolerancyjnym importerom polskim! Chwała zasadzie wolnego rynku! W ten sposób poszerzaliśmy asortyment, już nie tylko figurki Buddy, haftowane podomki i maszynowo wyszywane bluzki. Bracia i siostry słowianie z Kraju Rad handlowali wówczas byle czym: grzałką, żelazkiem i maściami z mięty wietnamskiej produkcji, sławetnymi w zimnej Rosji i innych republikach radzieckich, z żółtą gwiazdą na wieczku. Czy tak właśnie definiuje się „reeksport"? Nie znam się na ekonomii, ale wiem, że ten sam Pewex, w którym sprzedawano papier toaletowy, to skrót od Przedsiębiorstwo Eksportu Wewnętrznego. Dzięki Bogu, pewne rzeczy już mamy za sobą…

Po roku intensywnego handlu obwoźnego na prowincji, któremu towarzyszyły zawsze liczne rozważania filozoficzne nad pracą zarobkową, kupiłem używany samochód i przeprowadziłem się do stolicy. Z oszczędności wynajmowałem małe mieszkanko w samym centrum, na Kruczej. Co jakiś czas jeździłem na Stadion, aby rozważyć możliwość handlowania tam. Wietnamczyków było wówczas niewielu, starczyłoby i miejsca dla mnie. Jednak dla mnie – chłopaka ze Szczecina – Stadion był za wielki, czułem się tam zagubiony. Po kilku miesiącach egzystencjalnych rozważań za namową kolegów przeprowadziłem się – tym razem do Krakowa. Handel na bazarach w Oświęcimiu, Tarnowie czy Nowym Targu to była czysta przyjemność, w gronie samych magistrów, doktorów i inżynierów.

Tekst zksiążki „Stadion X - Miejsce, którego nie było" red. Joanna Warsza, wyd. Korporacja Ha!art, Kraków 2008

Bazar na koronie Stadionu Dziesięciolecia rozrastał wraz z napływem Wietnamczyków z byłego NRD, Czechosłowacji, ZSRR i Bułgarii. Gastarbeiterzy wietnamscy z dawnego bloku sowieckiego bardzo cenili polską wolność (i tak zwaną wolną amerykankę) oraz polską gościnność, życzliwość polskich klientów i kochliwość Polek i Polaków. Polski rynek wzięty! Bazary powstające na błoniach Stadionu Dziesięciolecia należały do Wietnamczyków. Bazar Stadion, czyli chợ SVD, trên Sân znany jest w całym Wietnamie i wśród społeczności Wietnamczyków na świecie. Kilka lat później, kiedy wróciłem z Krakowa do Warszawy, redaktor Urban, naczelny tygodnika „Nie" pisał: „Skośne oko konia tuczy!".

A tuczy, tuczy! I to nie tylko konie polskie! Gdyby skośne oko nie tuczyło, nie mielibyśmy bazaru na błoniach, a przy Zamoyskiego nie mielibyśmy Nhà Trắng (Białego Domu) – jak słusznie nazwali Wietnamczycy ten skrawek ziemi z białymi, prowizorycznymi budami. To nie był byle jaki adres! Niejeden Wietnamczyk zrobił tu fortunę dzięki sprzedaży kurtek ze sztucznej skóry z Chin. Sam widziałem, jak Włosi je kupowali i wieźli do Niemiec, gdzie je odsprzedawali jako wyroby ze skóry. Mieli świetne przebicie. Reeksport w czystej postaci!

W połowie lat dziewięćdziesiątych pewnego dnia wróciłem do Warszawy z królewskiego miasta Krakowa pełen umartwień i kompleksów. Moi znajomi, którzy zaczęli handel w tym samym czasie, posiadali już znaczny kapitał. Zajmowali się poważnym importem towarów z zagranicy, prowadzili handel hurtowy. Na bazarach pracowali ich kuzyni. A ja wciąż sam, jak Kazik z piosenki Kabaretu Starszych Panów, z niskim stanem posiadania, czyli z tak ważnym – gdziekolwiek i kiedykolwiek – kapitałem początkowym. I jak to się ładnie mówi po polsku: z trudem wiązałem koniec z końcem. Zazwyczaj jeśli mężczyzna nie interesuje się biznesem, to interesuje się polityką. W moim przypadku było trochę inaczej: nie potrafiłem zająć się na poważnie biznesem, zająłem się więc działaniami opozycyjnymi! Od 2003 roku pracuję jako redaktor i autor w „Đàn Chim Viet" [Stada wietnamskich ptaków] – piśmie opozycji wietnamskiej, wydawanym w Warszawie. Od tego czasu zwano mnie dziennikarzem i wręcz wytykano palcami, co mi utrudniało prowadzenie interesu na Stadionie. Poza tym co to za dziennikarstwo! Nie dostawałem żadnego honorarium ani za teksty, ani za przekłady z „Gazety Wyborczej". Ba, nawet musiałem wyłożyć swoje oszczędności na ich publikację! Całkiem niedochodowa amatorszczyzna. Historia powstania tego czasopisma była ściśle związana ze Stadionem. Jeden z jego założycieli nie mógł znieść wiersza na cześć Partii wydrukowanego w biuletynie wydanym przez Ambasadę Wietnamską. Nawet w partyjnej gazecie, był on wyjątkowym archaizmem. Pompatycznie sławił Partię i jej wątpliwy dorobek. Mój kolega, doktorant chemii, ale i dobrze zapowiadający się biznesmen, napisał krótki, krytyczny felieton. Powielił go na ksero i rozdawał na Stadionie. Nasi kupcy chwytali ulotki jako rzecz odważną i bezprecedensową. Ukazał się więc kolejny egzemplarz, który zmienił się w dwutygodnik i później miesięcznik. Wraz z rozwojem czasopisma i moim zaangażowaniem w jego tworzenie, słyszałem coraz więcej legend stadionowych na swój temat, podobnie jak moi koledzy redakcyjni. Spotykaliśmy się z coraz częstszym ostracyzmem w środowisku wietnamskim. No cóż, nie ma nic za darmo, nawet na Stadionie. Rzecz tak nieuchwytna jak niezależne wyrażania poglądów; demokracja czy wolność kosztuje, niekiedy słono. Po zaangażowaniu się w działania opozycyjne nie odwiedzałem rodziny w kraju. Nie chciałem drażnić lwa, władza mogła zatrzymać paszport na kilka miesięcy. Co wtedy stałoby się z moją budką na Stadionie, pełną ciepłych skajowych kurtek? Dziś, jako Polak, od roku nie mogę dostać wizy do Wietnamu i raczej się na to nie zanosi. Większość moich rodaków nie ma takiego problemu ani takiego dylematu jak ja. Po Bożym Narodzeniu i Nowym Roku, kiedy w handlu jest zastój i zbliża się Tet, wietnamski Nowy Rok, moi pobratymcy jadą na urlop do domu. Rodzina się cieszy, trochę oddechu i wypoczynku przed następną walką o byt na Stadionie. Przyjemne z pożytecznym! Bilety lotnicze drożeją wtedy niemiłosiernie! Żyj i daj innym żyć w Polsce! Oto maksyma naszych warszawskich rodaków pracujących na Stadionie.

> Co się stanie z Wietnamczykami? Ufam w przedsiębiorczość i zdolność adaptacyjną moich rodaków, więc odpowiadam: w Polskę pójdziemy

Nieraz słyszę pytanie, co stanie się z Wietnamczykami po likwidacji bazaru na Stadionie? Niektórzy wrócą do Wietnamu, nie tylko dlatego że nie mają gdzie. Chcą wychować swoje dzieci na prawdziwych Wietnamczyków. Tak mówili znajomi prowadzący sklep spożywczy. Kupili sobie ostatnio piękny dom na Mokotowie. Dwadzieścia lat wcześniej byli gastarbeiterami w Czechosłowacji. Ruszali niebo i ziemię, aby dostać kartę pobytu w Polsce. Wrócili do Hanoi rok temu. Domu jeszcze nie sprzedali. Co się stanie z Wietnamczykami? Ufam w przedsiębiorczość i zdolność adaptacyjną moich rodaków, więc odpowiadam: w Polskę pójdziemy. Wietnamczycy w Ameryce w drugim–trzecim pokoleniu uczą się w szkołach i na uczelniach wietnamskiego jako języka obcego. I wiem, że i moi młodsi rodacy mają w Polsce problemy z językiem ojczystym. Marzy mi się więc wygodna, ciepła posada belfra wietnamskiego. Pana od wietnamskiego! W państwowych szkołach i na uczelniach publicznych. Przecież nie na Stadionie Dziesięciolecia!

Ngô Văn Tưởng – dziennikarz i działacz społeczny, redaktor opozycyjnego wietnamskiego portalu, w Polsce od 1983r.

Poezja z Komory

Bronisław Komorowski wygrał wybory. „Jestem z Polski" – mówi o sobie. „Jestem z Polski, to widać, słychać i czuć" – chciałoby się dodać. Ale czy nasz prezydent-poeta, autor wielu uroczych wierszyków, nie powinien jednak powiedzieć o sobie: „Jestem z Częstochowy"? Wpadł mi w ręce pewien tekścik, którego unikalne rymy i rytmy sugerują, że jego autorem może być pewien człowiek stojący od niedawna na najwyższym stanowisku w Polsce:

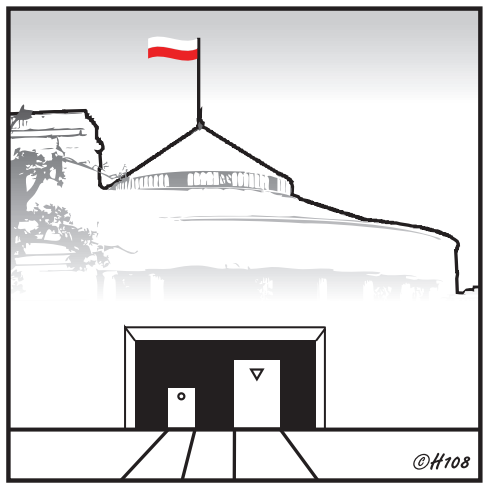

Patrząc na wszystkich tutaj was dokoła
Gwałcik zbiorowy marzy mi się zgoła
Dziś będę równość w życiu swym promował
Panie i panów będę deflorował
Homo, hetero, wszyscy tacy sami
Wszyscy wydymani, wszyscy oszukani
Proszę się nie bać, nie będzie analnie,
Będzie bez bólu, bo będzie mentalnie

W Platformie rządzi ta zasada śliczna:
Jeśli kastracja, to tylko chemiczna
A gwałt to tylko przez uszy i oczy
Pośród medialnych błękitnych przezroczy
Pięknych obrazów, lepkich, słodkich słówek
Ślisko i gładko włazimy do główek
I dzięki temu mamy w garści Polskę
Możemy zrobić gorszą od PIS-owskiej

Nową ustawę o spec-służbach śledczych
I uprawnieniach szpiegowsko-razwiedczych
Której na pewno ja nie zawetuję,
Albowiem równość wesoło promuję:
Każdy tak samo równo szpiegowany!
A kiedy służby zbiorą sporo danych
Wtedy cię wsadzą – albo je sprzedadzą
Firmom prywatnym, które rynkiem trzęsą:
(Łatwiej ci wmuszą plastik jako mięso...)

Więc proszę pana oraz drogiej pani
Bronek lansuje wam wegetarianizm!
A parytety, co promują równość?
Krakowskim targiem podzielmy po równo
Mówicie: procent pięćdziesiąt dać paniom
Ja na to: baba to kuchenny anioł
Rzućmy jej ochłap, łagodnie się zgodzi
I jeszcze zupkę z ochłapa sporządzi...

Trzydzieści pięć procent, tyle damom damy
A potem damy na dole upchamy
Na szarym końcu naszych pięknych zbiorczych
Męskich, wąsatych, polskich list wyborczych...
A nad tym wszystkim ja, wąsaty-męski
Zaakceptuję wszystkie nowe klęski
Jakie koledzy wymyślą dla ludzi
Lecz wy nie myślcie. Lepiej wszak się łudzić.

Tomasz Piątek

ZIELONE WIADOMOŚCI

ISSN 1898-8717 08

ZIELONE WIADOMOŚCI są dodatkiem do miesięcznika „Zielono i w poprzek".
Wydawca: Fundacja Zielone Światło, ul. Kabacki Dukt 2 lok. 78, 02-798 Warszawa.
Redaguje zespół.
Redaktorzy prowadzący: Beata Nowak i Adam Ostolski
Współpraca redakcyjna, korekta: Irena Kołodziej, Jagoda Kłosowska, Agnieszka Grzybek, Wojciech Kłosowski
Projekt graficzny, skład i łamanie, obróbka zdjęć: Beata Nowak
Współpraca: Hanna Gill-Piątek, Wojciech Kłosowski
Druk: Agora SA. Nakład: 14 tysięcy egzemplarzy

20 lat, 20 zmian

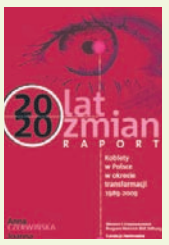

red. Anna Czerwińska, Joanna Piotrowska

Publikacja Fundacji Feminoteka ukazująca przemiany ustrojowe z perspektywy genderowej. Autorki i autorzy podejmują analizę sytuacji kobiet w kilku obszarach. Teksty dotyczą: praw reprodukcyjnych (m.in. Agata Chełstowska, Wanda Nowicka), sytuacji kobiet na rynku pracy (Bartłomiej Kozek, Dorota Gardias), przemocy wobec kobiet (Izabela Jaruga-Nowacka, Alina Synakiewicz), partycypacji kobiet w życiu publicznym (Joanna Piotrowska, Magdalena Kicińska) oraz praw osób LGBTQ (Agnieszka Weseli).
Do pobrania:
http://www.feminoteka.pl/downloads.php?cat_id=10

Kobiety w czasach przełomu 1989-2009

red. Agnieszka Grzybek

Publikacja Fundacji im. Heinricha Bölla dotycząca sytuacji kobiet w ostatnim dwudziestoleciu. Wszystkie teksty napisane zostały z osobistego punktu widzenia autorek, dla których czas przełomu lat 80. i 90. był albo czasem już ugruntowanego, dojrzałego spojrzenia na rzeczywistość, albo momentem wchodzenia w dorosłość. Niewątpliwy atut książki stanowi wielorakość perspektyw krajowych i pokoleniowych, osiągnięta również dzięki zebraniu tekstów kobiet z Polski, Ukrainy, Niemiec, Czech i Słowacji, zajmujących się działalnością dziennikarską, pisarską, badaniami feministycznymi. Wśród autorek m.in.: Bożena Umińska-Keff, Agnieszka Graff, Sylwia Chutnik.
Do pobrania
http://boell.pl/web/227-640.html

Kościół, państwo i polityka płci

red. Adam Ostolski

Zbiór tekstów ukazujących z różnych punktów widzenia wpływ polskiego Kościoła katolickiego na kulturę, edukację, rodzinę i równouprawnienie kobiet. Zawiera zarówno analizy przyczyn kulturowej dominacji Kościoła w Polsce (Agnieszka Graff, Iza Desperak), jak i historycznych powiązań Kościoła z polityką w okresie PRL-u (Maciej Gdula, Piotr Szumlewicz). Tekst Anny Zawadzkiej („Zarządcy frustracji") podkreśla, jak ważnym zadaniem dla ugrupowań i środowisk antyklerykalnych jest odebranie Kościołowi pozycji hegemona w odnoszeniu się do sytuacji osób wykluczonych przez transformację ustrojową. Publikację zamyka analiza szans na przełamanie dominacji Kościoła w życiu publicznym pióra Adama Ostolskiego.
Do pobrania:
http://boell.pl/web/219-774.html

Polski odcień zieleni

red. Przemysław Sadura

Publikacja dotykająca tematyki historii zielonych ruchów politycznych i adaptacji ich idei w Polsce. Przemysław Sadura i Agnieszka Kwiatkowska przyglądają się temu, jak wyborcy odbierają główne postulaty „zielonej polityki". Edwin Bendyk i Maciej Gdula piszą o różnych wizjach zielonej modernizacji. Teksty Ewy Charkiewicz i Adama Ostolskiego oraz rozmowa z Agnieszką Graff przynoszą nowe spojrzenie na historię zielonych ruchów społecznych w Polsce i zagrożenie ich NGO-izacją.
Do pobrania:
http://boell.pl/web/227-514.html

Gender in the EU

red. Agnieszka Grzybek

Czy po 6 latach od wstąpienia do Unii Europejskiej polityka genderowa zdaje w Polsce egzamin? Jakie czynniki sprawiają, że w Polsce środowiskom feministycznym towarzyszy poczucie pewnego rozczarowania impasem, w jakim znalazła się problematyka równości płci? Jakiej polityki płci potrzebujemy? Odpowiedzi na te i inne pytania poszukują autorki i autorzy anglojęzycznej publikacji „Gender in the EU". Agnieszka Graff, Adam Ostolski, Maciej Gdula i inni badają sytuację w Polsce i w instytucjach unijnych, poszukując źródeł problemu i alternatyw dla status quo.
Do pobrania:
http://www.boell.pl/web/96-703.html

Gender i ekonomia opieki

red. Ewa Charkiewicz, Anna Zachorowska-Mazurkiewicz

Antologia tekstów na temat znaczenia opieki i pracy kobiet w gospodarce. Opieka w Polsce jest zwyczajowo i tradycyjnie przypisana kobietom jako ich nieodpłatny obowiązek wobec rodziny. Książka zawiera podstawowe teksty teoretyczne dotyczące m.in. miejsca opieki w globalizującej się gospodarce, ale również analizy konkretnych przypadków, np. sytuacji polskich imigrantek – pracownic opieki w Norwegii i Włoszech (Lise Widding Isaksen) czy reformy systemu ochrony zdrowia w Polsce (Ewa Charkiewicz, Julia Kubisa). Na uwagę zasługuje również artykuł Christiny Ewig poświęcony próbom naprawy reformy służby zdrowia w Chile. Niektóre rozdziały dostępne na stronie: www.ekologiasztuka.pl

ERENE – Europejska Wspólnota Energii Odnawialnej

Studium wykonalności Michaele Schreyer i Lutz Mez.

Polityka energetyczna jest jednym z sektorów, w których mówi się o przyspieszeniu unijnej integracji. Takie przyspieszenie, zdaniem twórców publikacji, dałoby utworzenie Europejskiej Agencji Energetyki Odnawialnej. Finansowałaby ona inwestycje, mające na celu stworzenie warunków infrastrukturalnych zintegrowanego, europejskiego rynku energetycznego. Rynku, po którym krążyłaby wyłącznie energia ze źródeł odnawialnych, które mogą w pełni zaspokoić zapotrzebowanie na prąd i ciepło naszego kontynentu.
Do pobrania:
http://boell.pl/web/222-279.html

Tomasz Goliński

Zgoda buduje... Ciemnogród

Po katastrofie samolotu pod Smoleńskiem, powodzi, inwazji komarów i katastrofalnej suszy przyszła następna plaga – prezydentem został Komorowski. Tym samym rozpoczął się kolejny etap budowania Ciemnogrodu.

Pierwszy Murarz, który wygrał wybory posługując się hasłem „Zgoda buduje", a który przejdzie do historii jako Betonowy Prezydent będzie ów Ciemnogród budował zręcznie, wręcz niezauważalnie dla przeciętnego Kowalskiego. Albowiem Kowalski wciąż będzie się dawał nabierać na szeroki uśmiech i wypracowane gesty tak jak dał się nabrać na setki przedwyborczych obietnic nie wiedząc, że prezydent nie jest władny ich spełnić.

Nie wiemy czy w ciągu najbliższych lat Jego Wysokość zbuduje cokolwiek pozytywnego, wiemy natomiast, że wzniesie mury odgradzające jednych od drugich. O tym, że Najwyższy Majestat będzie dzielił Polaków wiadomo było już w czasie kampanii prezydenckiej, bowiem w trakcie jej trwania kandydat Komorowski wielokrotnie podkreślał swe przywiązanie do Ojca, Syna i Ducha Świętego, świętych i błogosławionych, papieża żyjącego i nieżyjącego, itp., co wyrzucało poza nawias osoby wierzące inaczej lub niewierzące. Wtedy też zapowiedział, że żadnej zgody na małżeństwa jednopłciowe nie będzie. Co prawda nie spodziewaliśmy się zbyt wysublimowanej empatii po facecie z wąsem, który wyładowuje swą agresję biegając z dubeltówką po lesie, oczekiwaliśmy nawet, że zamanifestuje wielkie kołtuństwo, nie sądziliśmy jednakże, że pchnie Polskę do wieków ciemnych, kiedy to kwitł handel żywym towarem. Otóż bowiem, Komorowski, w czasie debaty telewizyjnej powiedział, iż nie ma potrzeby małżeństw jednopłciowych, gdyż pary takie mogą skorzystać z rozwiązań, które już istnieją w naszym systemie prawnym i które to rozwiązania zagwarantują parom homoseksualnym niemalże to samo, co gwarantuje papierek z urzędu stanu cywilnego. Rozumiemy, że Jego Wysokobłagorodzie myślał o stworzeniu spółki cywilnej. Pomysł sam w sobie, na pierwszy rzut oka wydaje się niezły: sporządzamy umowę, w której określamy zobowiązania stron typu: kto gotuje obiady, pierze skarpetki, kto i ile razy w tygodniu jest stroną czynną a kto bierną w czasie obowiązków łóżkowych, i tym podobne. Później wnosimy w aporcie majątek ruchomy i nieruchomy. A jeszcze później, wraz z weselnikami idziemy do Krajowego Rejestru Sądowego, gdzie umowę rejestrujemy, a następnie unoszeni na skrzydłach szczęścia lecimy do restauracji oblać świeżo upieczony związek (w tak zwanym międzyczasie osoby wierzące dają na mszę w intencji, by sąd nie odmówił zarejestrowania spółki). A później konsumujemy zawartą umowę cywilnoprawną wraz z naszą drugą połówką. I wszystko byłoby fajnie, gdyby nie fakt, że może przecież się zdarzyć, iż w wyniku przedłużającego się konfliktu, nasz partner (czyt. wspólnik) będzie nas miał dość i sprzeda wszystkie swoje udziały. Możemy więc jednego dnia położyć się do łóżka z, co prawda pokłóconym, ale naszym partnerem, a kolejnego obudzić z kimś zupełnie innym. Jeśli jesteśmy gejem to pół biedy jeśli tym kimś nowym okaże się zakochany w nas po uszy młody, przystojny i bogaty Latynos, gorzej jeśli udziały odkupi od naszego byłego partnera zakochana w nas koleżanka biurowa, której jedynym życiowym celem będzie sprowadzenie nas na „właściwą" drogę czyli odgejowienie. A co się stanie, gdy nasz były wspólnik, kierowany małoduszną chęcią zemsty sprzeda swe udziały dwóm lub więcej osobom? Wówczas możemy mieć dom pełen obcych ludzi, z prawem do korzystania ze wszystkich sprzętów łącznie z sypianiem w naszym łóżku i – tym samym – uczestniczyć w najróżniejszych figurach geometrycznych od trójkąta wzwyż. Tak więc pomysł Komorowskiego, który kupili niemal wszyscy heteroseksualni wielbiciele obecnie panującego, w istocie ociera się o handel żywym towarem, niewolnictwo i namawianie do grupowego seksu. A na pewno jest kpiną z osób kochających inaczej.

W czasie kampanii prezydenckiej wielu wyborców dało się omamić kandydatowi Platformy. Tymczasem za szerokim uśmiechem i przyjacielskimi gestami kryje się ciasnota światopoglądowa, dulszczyzna i dziesiątki różnych przypadłości i fobii z homofobią na czele, które nadają się do gabinetu psychoterapeutycznego nie zaś do Pałacu Prezydenckiego reprezentującego państwo mające pretensje do bycia prawdziwie europejskim. Komorowski cofa nasz kraj co sprawia, że Europa ma jeszcze jeden powód, by postrzegać Polskę jako Ciemnogród. Jego Wysokość wciąż podkreśla swą działalność opozycyjną i umiłowanie wolności. Powinien więc wiedzieć, że nie ma prawdziwej wolności bez całkowitej równości. Ale pewnie nie będzie chciał tego przyswoić, bo zarówno on jak i jego rodzima Platforma hołdują zasadzie, że są równi i równiejsi.

Tekst i collage Zawleczka
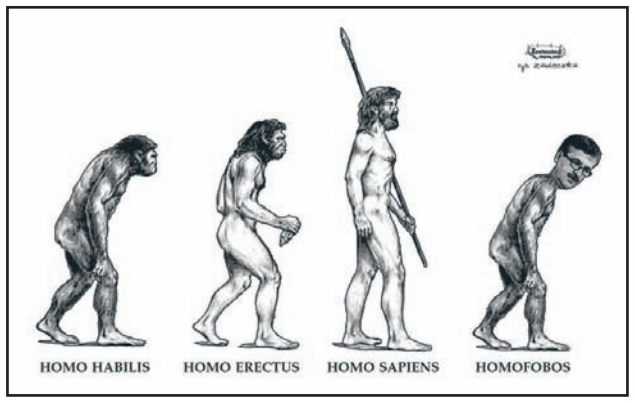
www.zawleczka.com.pl